RODZINA I DZIECKO



N. 6

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

T R E Ś Ć:

NR. 6 CZERWIEC 1937 ROK II

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Anna Roszkowska

SŁUŻBA SERCA.

W zawrotnym pędzie życia obecnej doby, jej trudnych i ciężkich warunków, gdy na pierwszy plan wysuwają się cele i względy materialistyczne — niejednemu może dziwnym wyda się ten tytuł.

Bo — powiedzmy sobie szczerze, dziś „S e r c e" jako symbol uczuciowości jest zepchnięte na dalszy plan. Może nawet za bardzo i za często.

Suchy rozum i materializm oto dziś najważniejsze motory życia.

Lekceważenie ich byłoby oczywiście co najmniej lekkomyślnością.

Ale największą mądrością jest utrzymywanie r ó w n o w a g i pomiędzy rozumem i uczuciem. W wielu dziedzinach oba te pierwiastki godzą się znakomicie i jedynie w niezachwianej harmonii prowadzą do upragnionego celu.

Powyższe daje się zastosować przede wszystkim do największej wartości społecznej, jaką jest rodzina.

Wobec „nowych" prądów, dążących do obalenia pojęcia ideału rodziny — powinniśmy z największą pieczołowitością pielęgnować wszystko, co może wpłynąć na odparcie tego niebezpieczeństwa, dążąc zarazem konsekwentnie do podniesienia jej poziomu i znaczenia, przez wychowywanie naszych dzieci w szacunku i miłości dla domu rodzinnego, dla rodziców.

Ojciec jest żywicielem i opiekunem rodziny. Pełni wielki i piękny obowiązek — wdzięczność i szacunek należy mu się od dzieci.

Jednakże matka, która rodzi dziecko w ciężkich bólach, karmi je własną piersią czuwając w okresie kilku lat nad maleństwem — jest żywym symbolem poświęcenia. Jest uosobieniem najwierniejszego o najwyższym poziomie uczucia.

W tym leży źródło, że jest otoczona w myśli ludzkiej aureolą pełną czułości i poezji.

Nikt nie zdoła przez całe swe życie wywdzięczyć się matce za jej miłość i trudy.

Najcięższą a także najmniej ocenianą jest dola matki w rodzinie robotniczej i wiejskiej.

Więc piękną i wzniosłą jest inicjatywa poświęcenia jednego dnia w ro-

ku, celem złożenia przez dzieci i przez całe społeczeństwo dowodu czci i wdzięczności matkom.

„Dzień Matki" w Polsce przed 13 laty zainicjowały Koła Młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża.

Obecnie w Warszawie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, prawie we wszystkich miastach i miasteczkach, nawet w wiejskich szkółkach — wszędzie tam, gdzie zakwitła przepiękna w swym znaczeniu społecznym i wychowawczym organizacja Kół Młodzieży P. C. K. pod hasłem „Miłuj Bliźniego" — setki tysięcy młodych, gorących serc prześciga się w obmyślaniu i wykonaniu niespodzianek, podarków i wszelkich sposobów okazania czci i miłości matkom.

Dzień Matki jest dla młodzieży najmilszą uroczystością w roku.

Na obchody z tym dniem związane obrany jest miesiąc maj, gdy cała przyroda strojna w zieleń i kwiaty składa hołd Najwyższemu Ideałowi Macierzyństwa — Matce Zbawiciela — Opiekunce Wszystkich Matek.

Krzepiące i radosne uczucie ogarnia tych, którzy od lat trzynastu organizują „Dzień Matki". Z każdym rokiem obchody te zyskują coraz większe uznanie ogółu i coraz liczniejszy udział młodzieży i społeczeństwa.

Setki sztandarów szkolnych i wszystkich młodzieżowych organizacyj wymownie świadczą o zrozumieniu i odczuciu uroku i głębokiego znaczenia społecznego tych uroczystości.

Dążymy wytrwale do wychowania naszych dzieci w ideałach miłości Boga, Ojczyzny i Rodziny, udoskonalając młode dusze przez kierowanie ich nieustanne i niestrudzone na drogę dobra i piękna.

Jednym z niezawodnych środków do tego celu jest budzenie i pielęgnowanie czci, miłości i wdzięczności dla Tej, która przez całe swe życie pełni dla nich „Służbę Serca".

Maria Uklejska.

WAKACJE!...

Jakże radośnie brzmi to słowo w ustach dziecka, jak wiele nadziei i pragnień wiąże z nim młodzież dorastająca. Już w szare marcowe poranki w czasie lekcyj szkolnych zjawia się w myśli ten wyraz, dźwięczy w uszach i kusi, budząc poczucie przyszłej swobody i otwierając szerokie perspektywy na łąki, lasy, dzikie obozy, na mknące z hukiem pociągi i furmanki, wlokące się noga za nogą. Za sprawą rozkwitającej wiosny wyraz ten nabiera coraz więcej życia: wakacje — to bezpośrednie zetknięcie się z przyrodą, ból nóg umęczonych marszem, długim, ale dobrowolnie odbywanym, to — wielka przygoda i — zbieranie obserwacji i snucie myśli, na jakie nie ma czasu w normalnym roku szkolnym.

Takim i dużo piękniejszym jeszcze marzeniom wakacyjnym młodzieży wychodzą naprzeciw nasze troski codzienne o normalnym i znanym „cię-

żarze gatunkowym", oraz specjalne troski wakacyjne: dokąd jechać (czasem też: za co?) i w jaki sposób zorganizować ten 6 — czy 8-tygodniowy okres, aby go możliwie dobrze i wszechstronnie wyzyskać. To ostatnie pytanie ma szczególne znaczenie wychowawcze.

Trzeba nam przeto wżyć się w to, czym wakacje są dla młodzieży, jak ona pragnie je urządzić i trzeba zdać sobie sprawę, czego my spodziewamy się po nich, ażeby tego okresu nie zmarnować. Bo tegoroczne wakacje będą w naszym życiu, tak jak w życiu naszych dzieci, tylko jeden jedyny raz. Dla przeciętniego dziecka wakacje są czasem wypoczynku i zmiany wrażeń, okresem samodzielności i swobody. I na to my — dorośli — zasadniczo godzimy się z młodzieżą, różnimy się dopiero, gdy chodzi o realną interpretację.

Już pogląd dorosłych na to, jak powinien wyglądać odpoczynek wakacyjny — na ogół bardzo odbiega od poglądu młodzieży. Dorośli najczęściej uważają, że odpoczynek powinien być bierny, — powinien obejmować wiele godzin snu i leżenia w ciągu dnia, sporo czasu wolnego, który można zużyć na rozmowy towarzyskie, drobne wyprawy do miasta, delikatne przechadzki, żeby się nie sforsować...; brydż w czasie deszczu i lektura Ilustrowanego Kuriera Codziennego, dokładniejsza niż w dni pogodne, dopełniają programu. Inaczej: bardzo rozpowszechnione jest wśród dorosłych mniemanie, że człowiek najlepiej odpoczywa, nic nie robiąc. że na wakacjach należy unikać wysiłku mięśniowego, podniet dla nerwów, czasem nawet: dyscypliny wewnętrznej.

Inaczej na tę sprawę patrzy młodzież, w ogromnej większości pragnąca wypoczynku czynnego. Młodzież chce odpoczywać przez zmianę wrażeń, zmianę sposobu życia i przez podejmowanie wysiłków dobrowolnych.

W ciągu roku szkolnego młodzież wytęża się w kierunku zapamiętywania różnych wiadomości, w kierunku znajdowania związków logicznych, rozumienia twierdzeń naukowych i znajdowania dla nich uzasadnień lub dowodów. I chociaż hasło wychowania fizycznego jest tak ogromnie słuszne — nie udaje się prawie młodzieży, jeśli uczy się dobrze, połączyć pracy umysłowej z poważną, systematyczną zaprawą sportową, z intensywnie uprawianym ruchem, lub bezpośrednim poznawaniem świata, jakie dostępne jest podczas wędrówek i obozów. To też przeciętne dziecko nie chce uczyć się podczas wakacji; jeśli nawet ma jakieś plany kształcenia się, — to w sposób inny: bierze książki, by samodzielnie studiować; zresztą to jest zjawisko raczej rzadkie. Natomiast — młodzież pragnie wyżyć się ruchowo. Pływanie, wiosłowanie, gry sportowe i polowe, wędrówka — oto kierunki zainteresowań wakacyjnych. Głód nowych wrażeń wyraża się w tym, że dziecko pragnie zmienić miejsce zamieszkania na czas wakacji, a marzy o podróży. Jeśli zaś może wybrać tylko pomiędzy pobytem na kolonii szkolnej, na której w sposób systematyczny jeden dzień płynie podobnie do drugiego, a obozem, — wybiera obóz; tam zawsze będzie ciekawiej, stanie się na pewno coś, czego z góry przewidzieć

nie można, a nawet te przewidziane zajęcia i sprawy są ciekawsze, niż na kolonii, bo bardziej odmienne od wszystkiego, co charakteryzuje życie w roku szkolnym.

Mimo, że współczesna szkoła głosi hasła samodzielności i swobody — muszą uczniowie przez dziewięć miesięcy w roku słuchać i postępować tak, jak im każą dorośli. (I to nie jest wcale źle; źle jest, że raczej nie dosyć umiemy wymagać rozumnego posłuszeństwa!). Jednak należy stwierdzić, że młodzież podczas pobytu w szkole, słuchając i ucząc się, spełnia cele cudze, cele, wybrane przez rodziców i nauczycieli, a nawet środki, które wiodą naprzykład do rozwiązania konkretnych zagadnień, wskazuje nauczyciel, czy wychowawca. To też w czasie wakacji dziecko chce samo brać udział w planowaniu zajęć, zgłaszać swoją inicjatywę, chce samo działać. Dlatego tak nęci je obóz czy wędrówka, że tam samo jest podmiotem działania, jest autorem tego, co się dzieje.

Pogląd młodzieży (zdaje się zresztą: zupełnie intuicyjny) zdobywa sobie uznanie nawet w oczach teoretyków: pracownicy naukowi w dziedzinie fizjologii ruchu stwierdzają, że — zwłaszcza dla pracowników umysłowych, a za takich należy uważać także młodzież szkolną, — najkorzystniejszą formą wypoczynku jest wypoczynek czynny.

Jeśli tak, to dobrze zorganizowany obóz, w którym panuje karność, który ma zapewnioną opiekę lekarską i wychowawczą, jest jedną z właściwych form spędzenia wakacji. Dodatnie strony takiego obozu są dosyć liczne. A więc przede wszystkim: rozumny rozkład dnia i duża ilość zajęć sprawiają, że okres wakacyjny wydłuża się w świadomości obozujących, jak wydłuża się zawsze okres, szczelnie wypełniony treścią. Młodzież z obozu przywozi moc wrażeń i wspomnień i często dziwimy się, że w ciągu trzech tygodni można było tak wiele przeżyć.

Na obozach wzrasta samodzielność i zaradność uczestników, które razem z przeżyciami w czasie emocjonujących gier polowych i zawodów sportowych, wędrówek i wycieczek dają moc szczególnej radości. Radości te, zwane funkcjonalnymi, polegają na tym, że człowiek cieszy się, że czynność jakąś wykonywa lepiej, niż poprzednio, że np. wytrwalej chodzi, szybciej doprowadza do ładu swój namiot, nauczył się posługiwać kompasem i mapą... Uczucia funkcjonalne, za mało podkreślane w wychowaniu, pogłębia i rozwija życie obozowe, stwarzając doskonałą przeciwwagę dla przeintelektualizowania lub przeestetyzowania młodzieży t. zw. inteligenckiej. że obóz pogłębia postawę społeczną w młodych, że daje im możność nawiązania przyjaźni, braterstwa — powszechnie wiadomo.

Jednak mimo wszystkich walorów obozu, nie każde dziecko może i nie każde chce kilka okresów wakacyjnych po kolei spędzać na obozie i nie zawsze rodzice decydują się tak co roku wysyłać dzieci daleko od siebie. Poza względami materialnymi, które mogą tu odgrywać poważną rolę (wysłanie trojga dzieci na obóz czy kolonię — to już bardzo znaczna pozycja!), jest wiele względów innych.

Postanowiliśmy naprzykład, że — ponieważ nikt nie potrzebuje jakiejś zawiłej indywidualnej kuracji — rodzina spędzi wakacje razem. Wynajęliśmy mieszkanie i z całym gospodarstwem wyjeżdżamy na wieś.

Tego rodzaju wakacje mogą stać się dla każdego źródłem udręki, ale mogą być też okresem bardzo miłym, dającym wiele korzyści zarówno rodzicom jak dzieciom. Przede wszystkim takich kilka tygodni, spędzonych w warunkach mniejszego zdenerwowania, niż czas spędzany w mieście lub nawet w warunkach zupełnego spokoju — staje się podstawą do ożywienia i pogłębienia kontaktu między pokoleniami. Wszyscy mamy wiele czasu, możemy z sobą rozmawiać, i to nie tylko szybko decydując czy też ogłaszając swoje stanowisko, lecz możemy wymieniać opinie, dyskutować, precyzować swoje przekonania i cierpliwie wysłuchiwać zdania przeciwnika. W czasie takich rozmów czy to zasadniczych i niejako „programowych", czy prowadzonych tylko na tle i z okazji przeczytanej książki, czy w formie wyjaśnień i uzupełnień artykułu, zamieszczonego w świeżo nadeszłym czasopiśmie — my poznajemy lepiej zasób wykształcenia i przekonań naszych dzieci i dopuszczamy je do bliższego współżycia z nami, a one z kolei pogłębiają swe zaufanie do nas. Szczery zapał rodziców do jakiegoś dzieła literatury, znawstwo artystyczne, głęboka wiedza naukowa lub poważne wykształcenie przemawiają do dzieci głęboko, zwłaszcza w czasie wolnym od pracy zawodowej rodziców. Wówczas bowiem ich pasje naukowe, artystyczne występują zupełnie nie-utylitarnie, i młodzież je odczuwa w dorosłych jako coś bezinteresownego, idealnego. Z drugiej strony i my przekonywamy się, żeśmy ich — tych młodych — dotąd nie znali dobrze, przecenialiśmy ich lub nie doceniali, albo myliliśmy się w naszych spostrzeżeniach.

Oczywiście, że rozmowy nie powinny i nie mogą wypełnić okresu wakacji. Ażeby ten okres był jaknajlepiej wyzyskany, trzeba starannie zorganizować dzień. Trzymanie się najogólniejszych terminów i wprowadzenie dużej ilości zajęć z zakresu sportu i wędrownictwa sprawią, że nasze wakacje rodzinne nabiorą wielu cech życia obozowego, chociaż nie będziemy mieszkać wiele w namiotach i schroniskach. Muszą być jednak tak obmyślone, aby zapewniały uczestnikom wypoczynek czynny.

Jeśli wybierzemy na pobyt wakacyjny miejscowość, w których są urządzenia sportowe np. sławne już Druskienniki lub choćby Wisłę z rozległym i dobrze urządzonym basenem do pływania, zagadnienie uaktywnienia naszego wypoczynku ogromnie się upraszcza: należy tylko porozumieć się w sprawie godzin uprawiania ćwiczeń, a już ktoś zajmie się nami i naszymi dziećmi. Jeżeli jednak wybrana przez nas miejscowość nie ma odpowiednich urządzeń sportowych ani instruktorów — musimy sami znaleźć czas i miejsce na siatkówkę, szybko zapoznać się z trasami przechadzek, z warunkami dalszych wycieczek.

Co parę dni powinniśmy wyruszać dalej i na dłużej, jeśli nie na cały dzień, to od świtu do późnego obiadu, lub od wczesnego obiadu do wie-

czora. Takie wyprawy powinny obejmować biwakowanie gdzieś niedaleko potoku i gotowanie przynajmniej herbaty na spirytusowej maszynce. Należy też w ciągu wakacyj rodzinnych odbyć przynajmniej jedną dłuższą, choćby trzydniową wycieczkę - wędrówkę z noclegami w schroniskach lub w namiocie. Takie wycieczki ogromnie silnie wiążą uczestników dzięki wspólnym przeżyciom, pogłębiają tradycję i stają się źródłem wspomnień i zachwytów na długie tygodnie jesienne. Takie większe wyprawy są cenne i z tego jeszcze względu, że dostarczają one młodzieży do przeżywania radości funkcjonalnych dzięki rodzicom, którzy potrafią zrozumieć tę dziedzinę życia uczuciowego, tak ważną szczególnie u młodych.

Gdy dzieci z rodzicami rozmawiają, z nimi razem wędrują, zbierając obserwacje krajoznawcze i ludoznawcze i nawiązując kontakty z ludnością miejscową, gdy pomagają w zajęciach gospodarczych — dokonywa się w nich proces powolnego dojrzewania praktycznego. Przez cały rok szkolny wytęża się wszystkie siły na dojrzewanie teoretyczne, ściśle związane z myśleniem naukowym i ze zdobywaniem wykształcenia; w czasie wakacyj młodzież powinna dojrzewać przez obserwację samego życia, przez rozmowy z ludźmi (nie przez lekcje!), przez pokonywanie praktycznych trudności i dostosowywanie się do coraz to innych, urozmaiconych sytuacyj.

Dzięki temu szczególnemu procesowi, jaki zachodzi w dziecku, nieraz po wakacjach zauważamy, że ono „zmądrzało”, czy „rozwinęło się” przez te dwa miesiące i pytamy, czy się uczyło przez lato. Odpowiedź negatywna wprawia nas w zdziwienie.

Widać dziecko to miało dobrze zorganizowane wakacje, więc dojrzało praktycznie i teraz jest bardziej zaradne i przytomne i ma dużo, dużo więcej wiadomości poza książkowych.

Na to, ażeby wakacje rodzinne udały się prawdziwie, trzeba jeszcze jednego czynnika wychowawczego: dobrej, pogodnej atmosfery. Żadnemu z dzieci, choćby któreś przyniosło słabą cenzurę, lub nawet nie dostało promocji — nie trzeba zatruwać życia przez ciągłą „pamięć nieprawości”. Dziecko leniwe przełamie swoje lenistwo, a mało zdolne czy ociężałe — ożywi się, jeśli stworzymy mu warunki sprzyjające praktycznemu dojrzewaniu, jeśli mu okażemy, że jednak w nie wierzymy i potrafimy silniej przywiązać je do nas i do reszty rodzeństwa. Może na dnie jego niepowodzeń szkolnych leżała właśnie słaba orientacja w otaczających warunkach lub brak wiary w siebie, a może dziecko nie uczyło się dosyć intensywnie, bo nie dosyć zależało mu na tym, by zaoszczędzić przykrości rodzicom i wychowawcom?

A właśnie wakacje „rodzinne” są po to, ażeby obok całej dbałości o zdrowie i siły fizyczne wszystkich członków rodziny, jak najbardziej życie jej zharmonizować i wzajemne przywiązanie pogłębić.

Zofia Charszewska

KARA, CZY KONSEKWENCJA POSTĘPOWANIA?

Kara jest jednym z najważniejszych środków wychowawczych, za pomocą których staramy się wpłynąć na postępowanie dziecka. Karą chcemy wymusić na dziecku posłuszeństwo, złamać jego upór, skłonić do pilnego wypełniania obowiązków szkolnych i rodzinnych.

Jakże często jednak nie osiągamy zamierzonego celu! Zamiast oczekiwanej przez nas skruchy i uległości, spotykamy się ze świadomym oporem, z ostrym i wyraźnym buntem, tym ostrzejszym częstokroć im bardziej bezwzględną była wymierzona kara.

Pragnęliśmy, by dziecko uznało własną winę, a tymczasem ono samo nas oskarża, zarzuca nam, którzyśmy mieli właśnie dobro dziecka na względzie, niesprawiedliwość i brak zrozumienia.

Gdzie kryje się źródło nieporozumienia, źródło rozdźwięku, które przy surowym i bezwzględnym postępowaniu rodziców tak często pogłębia się w miarę dorastania dzieci? Różne są zapewne przyczyny tego zjawiska. Śmiem twierdzić jednak, że dużą rolę odgrywa tu złe, nieumiejętne, a jakże często i nierozsądne stosowanie kar.

Nie należę do zaciekłych przeciwniczek kar „w ogóle". W ciągu swego życia dziecko nie raz będzie ponosiło przykre konsekwencje swoich czynów, musi być do tego przygotowane, musi umieć ponieść następstwa swego postępowania, być odpowiedzialnym za swoje czyny człowiekiem. I właśnie dla tego kara wymierzana dziecku przez rodziców lub wychowawców winna być jedynie prostą konsekwencją postępowania dziecka, a nie represją lub zemstą stosowaną przez przełożonych. Różnica między karą pojętą jako konsekwencja czynu, a karą represyjną jest bardzo duża, a efekt wychowawczy znacznie większy, niżby to na pozór mogło się wydawać. Kara bowiem, która nie wypływa sama przez się z postępowania dziecka, nie jest dlań logicznym następstwem popełnionego czynu, upokarza dziecko, wywołuje w jego duszy gwałtowny sprzeciw lub pozorną uległość, po za plecami której kryje się niechęć lub przyczajony bunt.

— Byłeś niegrzeczny, będziesz za karę siedział w domu! — powiada matka. Twarzyczka dziecka czerwienieje, czasem napływają łzy do oczu — to często wzrusza matkę i kara zostaje cofniętą — lecz ileż razy nad łzami zwycięża obrażona ambicja. „To nic nie szkodzi", odpowiada mały „buntownik", i za niegrzeczne zachowanie się otrzymuje dodatkową karę.

Jakież uczucia miotają wówczas małym serduszkiem dziecka? Bunt, nienawiść, zdeptana ambicja, odczucie przymusu, a potem żal, jakiż straszny żal do rodziców, do matki, że nie kocha, że nie rozumie. Żal, obrażona duma zagłuszają kiełkujące czasem po spełnieniu złego czynu poczucie winy, skruchę. A wszak z punktu widzenia wychowawcy, właśnie poczucie winy, które kara zabija, jest przejawem dodatnim.

W swej pracy szkolnej z dziećmi stwierdziłam, że większość z nich bodaj traktuje karę jako zemstę ze strony rodziców. „Za to, że nie usłuchałam mamy, nie poszłam do kina" — zwierza się swej przyjaciółce jedenastoletnia dziewczynka, a po chwili dodaje. „Wyrządziłam mamie przykrość, więc i mama chciała, bym się trochę posmuciła". Jeżeli zastanowimy się głębiej nad słowami tego dziecka, dojdziemy do przekonania, że dziewczynka traktuje karę, jako odwet ze strony matki za wyrządzoną przykrość. Odwet, który w tym wypadku uważa za słuszny, ale który często może się również wydawać krzywdzącym lub zgoła niesprawiedliwym. Karę tego rodzaju bardzo często uważają dzieci za niesłuszną, tym bardziej, że zdają sobie z tego sprawę, iż wymiar jej zależy w dużej mierze od dobrego lub złego humoru matki lub wychowawcy. „Splamiłam obrus, ale mama była w dobrym humorze i nic mi nie powiedziała" — opowiada jedna z dziewczynek koleżance. „Dzisiaj lepiej ojcu na oczy nie leź" — poucza brata kilkunastoletni chłopak — stary czegoś taki zły do domu wrócił"...

Pomyślmy co może czuć i myśleć dziecko, które wymierzoną karę traktuje jako wynik złego humoru rodziców. Czy może uważać ją za słuszną? Nic też dziwnego, że nawet u dość małych dzieci spotykamy nieraz zimne wyrachowanie. „Czy powiedzieć tatusiowi o tym parasolu" — radzi się młodszy brat starszego (chłopcy wzięli bez pozwolenia parasol i niechcący złamali w nim dwa druty). — „Poczekaj, nie dzisiaj — odpowiada starszy — ojciec dzisiaj czegoś zły". Dzieci obserwują rodziców, starając się wykryć w jakim mama czy tata humorze, czy można się przyznać do wykroczenia, czy lepiej całą sprawę odłożyć na później. Czasem dochodzą do wniosku, że najpraktyczniej będzie wyłgać się zwyczajnie, wyprzeć popełnionej winy.

Dlaczego dziecko reaguje w ten sposób? Dlaczego kara represyjna wywołuje bunt, kłamstwo?

Dlatego, że w pojęciu dziecka kara zależy nie od jego czynu, lecz od przyczyn zewnętrznych, których dziecko często nie zna lub nie rozumie. Dlatego, że nie widzi ono logicznego związku między własnym postępowaniem i karą, która je za to postępowanie spotyka. I nie dziwmy się temu. Naprawdę nie ma logicznego związku między niegrzeczną odpowiedzią udzieloną matce, a pozbawieniem dziecka przyjemności pójścia do kina lub teatru, między nieodrobioną lekcją, dwójką na cenzurze, a cofnięciem obietnicy kupna wiecznego pióra, scyzoryka i t. p. W karze tego rodzaju dziecko może dostrzec jedynie zemstę rodziców, chęć uczynienia mu przykrości za nieodpowiednie zachowanie się lub niewypełnianie nałożonych nań obowiązków. Wet za wet, ty tak, to i ja tak.

Dlatego kara represyjna nie posiada żadnych głębszych wartości wychowawczych, a działając jedynie jako środek zewnętrznego przymusu paczy charakter dziecka, stając się przyczyną kłamstw i wykrętów, a zarazem powodem oziębienia stosunku dziecka do wychowawcy. O ile dziecko

ma zrozumieć i uznać słuszność kary, nie może ona być zemstą za nieposłuszeństwo lub ostre słowo, nie może zależeć od złego lub dobrego humoru rodziców, a musi być jedynie konsekwencją, logicznym przedłużeniem popełnionego przez dziecko czynu.

Dziecko grymasi przy jedzeniu, odsuwa talerz — wyciągamy konsekwencje: kto nie umie jeść przy stole, musi jeść osobno; trudno, żeby wszyscy cierpieli z powodu grymasów jednego dziecka. Spokojnie, bez krzyku, bez niepotrzebnego upokarzania dziecka wyciągamy wnioski z jego zachowania się. Dziecko musi odejść od stołu, bo je nieporządnie i dziecko rozumie tu logiczne powiązanie obu faktów. Cóż jednak poza chęcią zemsty i sprawienia mu przykrości dostrzeże dziecko, jeśli dostanie za to w skórę lub nie pójdzie na spacer?

„Nie możesz iść na spacer lub na zabawę, gdyż nie zdążyłeś jeszcze odrobić lekcji". „Nie mogę z tobą rozmawiać, gdyż odzywasz się niegrzecznie" i t. d. Z każdego postępku dziecka można wyprowadzić konsekwencje. Może się zdarzyć, że poniesienie konsekwencyj swego czynu będzie dla dziecka bardziej krzykre, niż kara represyjna, nie związana z danym postępkiem, pomimo to dziecko rozumiejąc przyczynę kary nie będzie miało poczucia krzywdy. Rozumie ono bowiem, że przyczyną przykrości jest w tym wypadku jego własne zachowanie się. Cierpi d l a t e g o, że popełniło zły czyn, a nie z a t o, że go popełniło. Nie ma zemsty, jest tylko konsekwencja własnego postępowania dziecka, jest tylko środek zaradczy, uniemożliwiający szkodzenie innym. Nie ma więc miejsca na bunt, na żal do rodziców. Dziecko winić może tylko siebie, do siebie tylko może mieć żal i pretensje. Praktyka wychowawcza potwierdza to na każdym kroku.

Taki właśnie sposób postępowania daje nam możność odpowiedniego przygotowania dziecka do życia społecznego. Posługując się tą metodą, kształcimy w dziecku poczucie odpowiedzialności, a jednocześnie poszanowanie praw i pracy środowiska, w którym się dziecko znajduje. „Spóźnię się na obiad, będę musiała jeść zimny obiad", — martwi się dziesięcioletnia dziewczynka. „Czy mama będzie się bardzo gniewała?" — pyta współczująca przyjaciółka. — „Nie, ale Marysia (służąca) nie może przecie specjalnie dla mnie odgrzewać obiadu". Dziewczynka ta, bardzo dobrze prowadzona przez matkę, wie, że musi ponieść konsekwencje swego spóźnienia się, nie boi się jednak „kary" i nie stara się od niej wykręcić. Nie ma również żalu do matki, choć przykro jej będzie jeść samotnie zimny obiad i zmywać po sobie talerze, czego mogłaby uniknąć, przestrzegając obiadowej godziny. W stosunku tej dziewczynki do popełnionego przez nią wykroczenia — spóźnienia się — przejawia się nie tylko poczucie odpowiedzialności za swoje postępowanie, lecz również poszanowanie pracy służącej i porządku panującego w domu.

Przez pewien czas prowadziłam klasę, której poprzednia nauczycielka bardzo sumiennie przestrzegała zasady ponoszenia przez dzieci konsekwen-

cji popełnionych czynów. W klasie tej uderzyło mnie duże przygotowanie społeczne dzieci. Dzieci bardzo mało kłamały, przyznawały się do swoich przewinień, posiadały duże poczucie odpowiedzialności osobistej i duże poszanowanie pracy szkolnej, pracy innych dzieci. Wbrew przykrej, panującej jeszcze dotychczas tradycji szkolnej, każde zakłócenie porządku szkolnego, ciszy podczas lekcji, spotykało się nie z aprobatą reszty klasy, lecz z wyraźnym oburzeniem i potępieniem.

Praktyka wychowawcza wskazuje niezbicie, że podczas gdy kara - zemsta, nie mająca logicznego powiązania z postępowaniem dziecka, wywołuje odruchowy bunt, rozgoryczenie, a w dalszych skutkach tendencję do kłamstwa, wykrętów i przeciwstawiania się otoczeniu — przestrzeganie zasady ponoszenia konsekwencji swego postępowania, kształtuje poczucie odpowiedzialności osobistej i społeczne ustosunkowanie się dziecka do otoczenia.

W tym ujęciu bowiem kara zupełnie zmienia swój charakter. To samo naprzykład usunięcie dziecka z pokoju, zastosowane jako kara represyjna, gdy „wyrzucamy" dziecko za drzwi, wywoła bunt i ujemne skutki, a zastosowana racjonalnie, gdy konieczność opuszczenia pokoju ukazuje się dziecku jako skutek jego nieumiejętności współżycia z innymi dziećmi i t. p., wzbudza w nim świadomość popełnionego błędu i kształtuje poczucie odpowiedzialności.

Napozór zdawaćby się mogło, że chodzi tu tylko o zmianę f o r m y kary, o zmianę tonu, w jakim zwracamy się do dziecka przy wymierzaniu kary, zmianę sposobu jej motywowania. W rzeczywistości chodzi o coś znacznie głębszego, o zmianę s t o s u n k u w y c h o w a w c y d o d z i e c k a. Wychowawca winien traktować dziecko nie jak przestępcę, który musi odcierpieć, odpokutować — wszystko jedno w jakiej postaci swą winę, ale jako istotę, która postępuje aspołecznie wskutek niedostatecznego uświadomienia i której trzeba ukazać szkodliwość takiego postępowania. Osiągnąć to można, dając dziecku odczuć, że gdy działaniem swym szkodzi otoczeniu, musi samo ponieść konsekwencje tego działania. Kara przestaje tu właściwie być karą, w zwykłym, tradycyjnym tego słowa znaczeniu, przetwarzając się w naturalny, zrozumiały dla dziecka przejaw życia społecznego, w prosty, konieczny skutek jego postępowania.

Jadwiga Kopciowa.

NIEZGODNI RODZICE.

Tatuś zdenerwowany wrócił z biura. A więc obiad jest dziś niesmaczny, w piecu zanadto napalone, Antosia podaje do stołu w nieświeżym fartuchu, a wszystkiemu winna mamusia, która w milczeniu i na pozór obojętnie przyjmuje te zarzuty.

Wróciła wprawdzie z pracy nieco wcześniej niż tatuś, ale długo stała na przystanku tramwajowym, wsiadła w pośpiechu do wozu dla palących, poza tym miała jeszcze jakąś przykrość i czuje się bardzo zmęczona.

Gdy przychodzę do domu, lubię u-

śmiech i pogodę — odzywa się tatuś, a ty jesteś taka skwaszona, powiedz czemu nie dopilnowałaś, by wszystko było w porządku, nie jesteś chyba zapracowana? całe twoje zajęcie to przecież zabawka, gdybyś spróbowała jak ja sporządzić bilans roczny, nad jedną omyłką muszę się nieraz tygodniami biedzić.

— Jesteś doprawdy niesprawiedliwy, uderzasz w moją najsłabszą strunę — tłumaczy się mamusia — żebyś wiedział, że nie miałam dziś czasu, zatrzymali mnie dłużej w redakcji, sprawa poruszana przeze mnie w artykule okazała się spóźniona i nieaktualna. Ktoś inny mnie uprzedził, cała moja praca na marne, nie przypuszczasz, by mi to było przyjemne...

— Wielka mi rzecz, napiszesz inną, taka tam babska bazgranina...

Obecne przy rozmowie dzieci spoglądają porozumiewawczo na siebie. Zosia trzyma stronę mamusi — jest przecież kobietą, Janek jest zdania, że tatuś ma słuszność, bo co mężczyzna to mężczyzna.

Mamusia jest wyprowadzona z równowagi. Podnosi głos w obronie swych słusznych praw, zwalcza uprzedzenia.

Gdy mamusia milczała, tatuś żądał wytłumaczenia, lecz gdy zaczęła się bronić — wpadł w gniew i wyszedł z pokoju.

— Wszystko w gardle mi staje — rzecze Zosia — moja biedna mamusia!

— Gotowaś jeszcze beczeć, niewiele ci potrzeba, pokłócą się i pogodzą — odparł sentencjonalnie Janek.

— Łatwo ci mówić. Powinnam się zaraz wziąć do lekcji, a nie mogę, te ciągle sprzeczki domowe przeszkadzają mi w pracy, o niczym innym nie myślę. I żeby to raz, ale przecież nie ma dnia, by się to nie powtarzało. I ciągle się boję, że gdy tak będzie dalej, to mamusia nie wytrzyma, a i tak jest bardzo słaba.

— Może masz rację, tylko niepotrzebnie się przejmujesz, bo nic na to nie poradzimy.

— Wiesz, co mnie najwięcej boli? Że tatuś odnosi się do mamusi z wyższością i nie ocenia jej wcale, a ma przy tym takie nierówne usposobienie, że nigdy nie można przewidzieć, jak postąpi, wszystko od humoru zależy.

Nazajutrz Janek czyta podczas kolacji.

— Janku, odłóż książkę — odzywa się mamusia — już ci tyle razy mówiłam, że wpływa to ujemnie na proces trawienia, możesz przy tym łatwo zrobić plamę, właśnie położyłam czysty obrus.

— Niech tam sobie czyta, to nic nie szkodzi — odzywa się tatuś — jedzenie to nie msza, szkoda tracić czas, ja także biorę gazetę.

— Czemu tak mówisz? ten wspólny posiłek to może jedyna sposobność do nawiązania kontaktu między nami a dziećmi.

Janek czyta dalej.

Innym razem Zosia wybiera się na zabawę do gimnazjum. Jest sobota. W przededniu była w kinie na „Sonacie księżycowej", a na niedzielę umawia się z koleżankami na koncert.

— To stanowczo za wiele — odzywa się mamusia — lekcje na tym stracą i zdrowie, jestem przeciwna nadmiarowi wrażeń w okresie intensywnej pracy szkolnej.

Tatuś jest innego zdania.

— Ależ co znowu, niech korzysta, póki młoda, co tam lekcje, nie uciekną.

Zosia w głębi duszy przyznaje rację mamusi, lecz sprzeciw wywołał w niej rozterkę. Musi zdecydować sama. Jak rozstrzygnąć? Ten zielony karnawał i pokusy koleżanek — z jednej strony, rozbieżne sądy rodziców — z drugiej. Stanowczy i umotywowany argumentem zakaz rozciąłby wszelkie jej wątpliwości.

— Wiesz — mówi raz do Janka — nasi rodzice to jak dzieci...

— Rzeczywiście — potwierdza Janek — kochamy ich przecież bardzo, ale liczyć się z nimi nie podobna.

Budujemy wnioski.

Wzajemna niezgoda rodziców wprowadza rozdźwięk między nimi a dziećmi, obniża zaufanie, podważa powagę.

Dzieci przedwcześnie wnikają w życie starszych, zaczynają patrzeć krytycznie, stają się surowymi sędziami.

W sprawach wychowawczych wyłaniają się niekiedy kwestie, podlegające głębszej analizie i dyskusji.

I niejedną taką bardziej skomplikowaną sprawę niechaj rodzice omawiają między sobą. Wobec dzieci — obowiązuje ich postawa stanowcza i zdecydowana każde posunięcie dobrze przemyślane i solidarne.

Hanna Koryzna

PARĘ UWAG O POZASZKOLNYM ŻYCIU MŁODZIEŻY.

Naogół biorąc mało mówi się i pisze o życiu młodzieży poza szkołą. Co ciekawsze — prawie wcale nie bierze się pod uwagę dodatnich stron tego życia, a jeśli się je omawia w słowie czy piśmie, to raczej podnosząc jakieś cechy ujemne. A więc młodzież zawiera niepożądane znajomości, chodzi na niewłaściwe filmy, jest niekarna i „obca" domowi itd.

Rodzice w wielu wypadkach za mało poświęcają uwagi na życie poza szkołą swoich dzieci. Zadowoleni są, że dziecko pół dnia jest w szkole a więc pod dobrą opieką i raczej wolą, kiedy młodzież szkolna ma dużo lekcji domowych, gdyż nie krępuje starszych w ich trybie życia. Oczywiście, że nie wszędzie tak jest, jednak niestety aż nazbyt często.

Rodzice, którzy nader pobieżnie i niedość wiele interesują się życiem swoich dzieci poza obowiązkową pracą tych dzieci w szkole, nie zdają sobie sprawy, że czynią im tym wielką krzywdę. Umiejętności organizowania sobie życia poza koniecznym obowiązkiem trzeba się nauczyć. Nie każdy zaś od najmłodszego wieku ma zdolności w tym kierunku. Narzekamy, że dzieci nasze „chodzą z kąta w kąt" i „nudzą się", ale nie zdajemy sabie sprawy z tego, iż gdy dzieci te dorosną, będą jako ludzie dorośli tak samo „chodzić z kąta w kąt i nudzić się" po odrobieniu obowiązkowej pracy zarobkowej. Niektórzy rodzice tłumaczą się tym, iż dzieci ich są zmęczone i najszczęśliwsze są właśnie, gdy je pozostawić w spokoju.

Wydaje mi się, że takie ujęcie sprawy jest błędne. Bez wątpienia odpoczynek po pracy konieczny jest zarówno dużym jak małym. Jednak odpoczynek także może być zorganizowany. Często niewyczerpujące — ale inne — zajęcie może być także wypoczynkiem.

Jak wielokrotnie powtarzano w różnych artykułach wychowawczych, lata szkolne są dla młodzieży przygotowaniem do późniejszego życia ludzi dorosłych. A więc prosty stąd wniosek, że podczas trwania lat szkolnych w wychowaniu muszą być uwzględnione najważniejsze czynniki, składające się na całokształt życia dorosłych.

Jeżeli człowiek dorosły — oczywiście kulturalny człowiek — poza swoją pracą zarobkową musi: współżyć z rodziną, ze swoim środowiskiem

towarzyskim i społecznym, jeżeli rozwija swe zainteresowania zawodowe, artystyczne, sportowe czy kulturalne, jeżeli od czasu do czasu stara się mieć jakąś rozrywkę — zupełnie zrozumiałe, że w wychowywaniu młodzieży już w latach szkolnych powinny być uwzględnione te wszystkie sprawy.

Stosunkowo niewiele mówiono dotąd o konieczności współżycia młodzieży z rodziną. Rodzice nie doceniają niebezpieczeństwa, jakie im grozi, jeżeli w przyszłości ich własne dorosłe dzieci duchowo najzupełniej się od nich oddalą. Zapewne, że głos krwi ma olbrzymie znaczenie. W decydującym momencie, np. w obliczu katastrofy, rodzina zespoli się w jedną całość. Jednak pytanie, czy wzniosła i wzruszająca chwila duchowego pojednania okupi dostatecznie całe lata obojętności i rozczarowania.

Współżycie rodzinne na codzień to ideał, który można osiągnąć i — trzeba. Na tym właśnie polega t. zw. szczęście. Ten dzień powszedni może nie zawsze upływa harmonijnie, przecież to wielkie słowo, jeżeli pod jednym dachem w czterech ścianach jednego mieszkania żyją ludzie sobie blizcy.

Z własnego choćby doświadczenia wiemy, jak trudno jest w młodym wieku o właściwą miarę krytyczną w stosunku do najbliższego, domowego otoczenia. Nie ma ostrzejszych krytyków od młodzieży. Jednak zadaniem rodziców jest nie zwalczać krytykę groźbą czy nakazem, ale raczej osłabić jej ostrze przez zainteresowanie dziecka w stopniu najwyższym sprawami i przyszłością jego własnego domu. Oczywiście, że duże ma tu także znaczenie zainteresowanie wzajemne rodziców osobistymi sprawami dziecka.

Nie można wyobrazić sobie rodziny jako komórki społecznej, któraby mogła żyć w kompletnej izolacji od grupy społecznej, do której z racji swej kultury, zawodu głowy rodziny czy interesów materialnych należy.

Dlatego niesłychanie ważną jest rzeczą, aby dziecko od najmłodszych lat jasno uświadomiło sobie swoje obowiązki pod tym względem. Współżycie z ludźmi jest koniecznością, zatem nie można z lekkim sercem godzić się, kiedy nasi synowie czy córki lekceważą sobie najzupełniej utrzymywanie stosunków familijnych czy towarzyskich. Nie wystarcza, jeśli młodzież chętnie w domu swoim widzi tylko kolegów z tej samej klasy. Szkolna ława to związek dość silny, przecież w życiu ludzi dorosłych napewno nie wystarczy. Zresztą nawet ze swoim koleżeństwem młodzież szkolna nie zawsze zachowuje poprawne stosunki towarzyskie. Rozumni rodzice muszą i tutaj często uwagę zwrócić.

Zdawałoby się, że w szkole dzisiejszej ujęcie społecznego życia i zainteresowań młodzieży jest tak duże, że dom niewiele może tu jeszcze mieć do powiedzenia. I tu znów nasuwają mi się pewne wątpliwości. Szkoła z natury rzeczy może dać tylko teorię. Praktyczne zastosowanie powinien umożliwić dom. W szkole czas jest ograniczony. zresztą wiele faktów spo-

łecznych wymyka się wprost programowi czy kompetencji szkoły. Dom nie szuka tematów społecznych, które z młodzieżą trzeba omówić, ale nie zaniedbuje żadnej okazji, kiedy to zrobić trzeba. Jeżeli to jest możliwe, wychowawcy domowi dbają również o praktyczne zastosowanie idei społecznych.

Kiedy w dziecku już nieco starszym budzą się zainteresowania zawodowe, choćby nawet później zmienić je miało, rodzice mogą dziecku bardzo wiele ułatwić czy to przez dostarczenie mu odpowiednich książek, czy choćby przez nawiązanie stosunków towarzyskich z odpowiednimi fachowcami. Znaną jest rzeczą, że często w wyborze zawodu decyduje przypadkowe poznanie zamiłowanego fachowca, który wywrze we właściwej chwili odpowiedni wpływ.

Z natury rzeczy dom powinien być kierownikiem moralnym kulturalnych zainteresowań młodzieży poza szkołą. Oczywiście taki dom, w którym to jest możliwe. Nigdy nie dość czasu poświęca ojciec czy matka na rozmowy z dziećmi o przeczytanej książce czy wspólnie oglądanym przedstawieniu w teatrze.

Wspólne z rodziną rozrywki młodzieży szkolnej często są utrudnione choćby dla względów materialnych. Zawsze łatwiej kupić jeden bilet niż dwa czy trzy. Rodzice w każdym razie powinni dbać, aby typ rozrywek, które lubi ich dziecko, był dość szlachetny. Trzeba też zauważyć, że w wyborze rozrywek powinno się uwzględnić pewną rozmaitość, a więc np. niewskazane jest bywanie tylko w teatrze — często — przez dłuższy okres czasu — gdyż i teatr obrzydnie tak, jak obrzydłyby codzień zjadane ciastka z kremem. Wogóle rozrywki trzeba umiejętnie dozować. Dajemy ich dziecku tyle, na wiele nas stać, jednak dziecko powinno zrozumieć, że na rozrywkę zawsze w życiu trzeba zasłużyć.

Zapewne wiele jeszcze dałoby się powiedzieć o organizacji pozaszkolnego życia młodzieży. Tymczasem poprzestaję na tych uwagach i — zapraszam wszystkich, interesujących się tym zagadnieniem, do nadesłania swych opinii.

DZIECKO I ŚRODOWISKO.

Mgr. Józef Czarnecki.

Sprawy dziewcząt w powieści Jolàn Földes („Ulica Kota Rybołówcy", Książnica-Atlas, 1937).

Autorka skoncentrowała osnowę i postaci książki koło dwu kwestii: emigracyjnej i kobiecej. Wprawdzie współżycie emigrantów, ludzi „zewsząd" — z różnych krajów, zawodów, środowisk, partii — stanowi podstawowy temat książki, jednak problemy dziewcząt odcinają się wyraźnie od tła, jako skomplikowa-

ne procesy psychologiczne — ważkie i aktualne dla nas — wychowawców i rodziców. Zdecydowane interpretacje artystyczne spraw dziewcząt opierają się na przeżyciach autorki; w jej szkicu biograficznym dostrzegamy rysy ciekawych przemian psychicznych, związanych z problemem kobiecym. Jednostki, utrzymujące kontakt wychowawczy z dorastającymi dziewczętami, zainteresują się wewnętrznymi zmaganiami Anki, Pii Moniki, czy szybkim, łatwym i samodzielnym docieraniem Klarci do własnej, niewzruszonej postawy życiowej. Autorka precyzyjnie szkicuje te momenty psychologiczne, które zjawiają się w świadomości dziewcząt w pierwszych niepłciowych kontaktach z mężczyznami. Współczesne dziewczęta — w większości wypadków — zbyt szybko rozpoczynają życie seksualne. Warto więc zwrócić uwagę na wstępne, „przygotowawcze" procesy duchowe. Psychologiczne studia naukowe Jolanty Földes wyraźnie się odbiły w powieści, najgłębiej — w kreśleniu sylwetek dziewcząt. Obserwujemy siostry: Klarcię i Ankę — od dzieciństwa do pełnej dojrzałości. Specjalnie należy zaakcentować fakt, że autorka dobyła z postaci ogólnoludzkie rysy, a nie narodowe - węgierskie. Tym się m. inn. tłumaczy odznaczenie powieści pierwszą międzynarodową nagrodą (4000 f. szt.) w konkursie Pinkerta.

Wędrówka duchowa Anki rozpoczyna się od silnego przeżycia „wzniosłości, szczytów, ideału" (str. 42). Spogląda wysoko w górę, wpatruje się w proste, strzeliste świerki, w biały puch śniegu... w potężny, wspaniały świat, który od nikogo nic nie chce" (str. 12). Alpejskie szczyty robią niezatarte wrażenie na dwunastoletnim dziewczęciu, opuszczającym ojczyznę. Anka nie załamie się, mimo, że nie potrafi wrosnąć w obce — paryskie — środowisko;... „ulica Paryża jest dobrym wychowawcą". Anka rozumie już świetnie język szoferów i ulicznych handlarek, paryskie dowcipy i przekleństwa, zna całe brutalne i wesołe, wulgarne i cyniczne życie ulicy" (str. 35).

Anka ugania się za „sprawunkami", prowadzi dom, nie ma czasu „na głupstwa". Później, gdy dojrzeje, przeżywać będzie „sprawy sercowe" — poważnie, głęboko. Nawiasowo zaznaczę, że dzisiejsze dziewczęta szkolne — w większości wypadków — „sportowo" traktują kwestie intymne — bez wyraźnej skrystalizowanej potrzeby duchowej. Według autorki Anka dochodzi do pełnej dojrzałości światopoglądowej właśnie w środowiskach ulicznych. Bezspornie w cieplarnianej atmosferze urastają rozproszone, kapryśne i nieideowe dziewczęta — niezdolne do zwyciężania w trudnych sytuacjach psychicznych i socjalnych. Kontakt z rzeczywistością, niekoniecznie czysto uliczną, jest konieczny. Jednym z decydujących momentów w kształtowaniu się psychiki dziewczęcej jest pierwsza reakcja na mężczyznę. Piętnastoletnia Anka ubóstwia Wasię. Element uwielbiania jest naturalnym procesem przygotowawczym do późniejszej miłości. Tak samo, jak zazdrość o głębszą przyjaźń dla innych jednostek. Wybitnie duchowa faza postawy wobec mężczyzny. Wasyl nie dostrzega u Anki gamy uczuć wzniosłych, lekceważy zauważoną sympatię dziewczęcia. Tymczasem Anka „nieraz po nocach zapłakuje się, często całuje klamkę, na której pozostał ślad jego ręki"... (74). Doznaje załamania, wstrząsu; pozostawi on niezatarte ślady w Ance, która „nie jest już dzieckiem, a jeszcze nie jest kobietą" (86). Śmierć Wasi w wypadku samochodowym wyczerpuje szesnastoletnią dziewczynkę: „półtora roku płakała,... teraz w końcu zabrakło jej łez" (96).

Czy z punktu widzenia higieny psychicznej korzystne są takie przełomy? Zaburzenie dezorganizuje świadomość, lecz ją jednocześnie pogłębia. Trudno tu orzec. Raczej szkodliwy jest pierwszy kryzys, zakończony klęską. W Ance nie ścichnie kompleks zawiedzionej pierwszej miłości. Smugi załamań są widoczne. Prawo kompensacji domaga się jednak kontynuowania pierwszych przeżyć. Zjawia się Stefek, nicpoń, ptak niebieski. Usiłuje zdobyć „młodzieńczą, świeżą" An-

kę. Nie jest urocza, „ale ma 17 lat". (107). Ileż 17-to, czy 18-toletnich dziewcząt gimnazjalnych załamuje się w ten sposób. Silniej, niż Anka, która szuka wartości u mężczyzny; kocha Stefka, lecz wstydzi się tej miłości, „zębami i pazurami broni się... przed tą miłością nową, okrutną i upokarzającą". Z obserwacji wiem, ile spustoszeń w psychice dziewcząt gimnazjalnych robią adoracje panów z towarzystwa. Rozpieszczone, uwielbiane poza szkołą uczennice, nie mogą się dostosować do rygoru w klasie, tracą poczucie autorytetu dla wiedzy, nauczycielstwa itp. Wiem również, że w wielu wypadkach rodzice przygarniają „narzeczonego", cieszą się z powodzenia córeczki. Co innego Anka. Ma wprawdzie rodziców, jednak przeżywa miłość na własną odpowiedzialność. To najważniejsze, że „szuka w ludziach mocy, jakiegoś choćby jednego wspaniałego przebłysku duszy, szuka takiej niezależności duchowej w ludziach małostkowych i bezgranicznie słabych, jaka zapewne nawet nie istnieje... Ideałem życia dziewcząt, zwłaszcza samotnych, od wczesnych lat zmuszonych do opanowywania siebie i do zależności w pracy — jest ta wzniosłość, szlachetność sama"... Anka rozumie doskonale mężczyznę. On nie pragnie „bezwzględnej niezależności duchowej... prawości i głębi" (130). Istotnie, panowie tak przystosowują do swych wymagań niedoświadczone dziewczęta, że te tracą własną dojrzewającą postawę życiową. Przedwczesna erotyzacja dziewcząt demontuje psychikę, wprowadza silny niepokój i zacieśnia rozrastającą się świadomość do przeżyć erotycznych lub pochodnych. Zerotyzowana psychika nie jest zdolna do wrastania w rozległą kulturę, gdyż zatraciła szersze zainteresowania samorzutne. Jednym z objawów erotyzacji dziewczęcej jest silna zależność psychiczna od mężczyzny. Anka nam imponuje, bo nie idzie na łatwy i tani kompromis. Mogłaby wyjść za profesora uniwersytetu, człowiek ten uwielbia ją, woli pozostać szwaczką, niż cierpieć przy boku obojętnej jednostki. „Günther nigdy nie był dla niej duszą bratnią" (303). Niektóre dziewczęta gimnazjalne zawierają narzeczeństwa z mężczyznami grubo starszymi. Gwiazdki, stanowisko, kariera — imponują.

Powiemy może: Anka to typ „nieżyciowy", za wiele przeżywa, zbyt często mocuje się z sobą, zużywa za dużo energii psychicznej na sprawy osobiste. Mimo to jest wzorową pracownicą w domu, czy warsztacie. Głębokie samokształtowanie światopoglądowe i uczuciowe reguluje problemy obowiązku zawodowego. Odwrotnie: łatwizna życiowa sprowadza zaniedbania.

Zupełnie odrębną postawę wobec ludzi i sytuacji osobistych wzgl. socjalnych reprezentuje Klarcia. Oto jej sylwetka: „Klarcia ma siedem lat, tkwi już w niej zarodek osoby, jaką kiedyś będzie: zawsze gotowej do walki i nieustępliwej, węszącej wszędzie niesprawiedliwość i żądającej dla siebie wszelkich praw, zawsze skorej do protestu — małej, zadzierzystej buntownicy" (11). „Wchodzi do szkoły z miną wojowniczą, lecz i z pewną nieufnością" (25) — rozbija rówieśnice, „dzikuska" (26). Nie tak łatwo pozyskać jej względy. Zdawałoby się: osóbka bez krzty litości. A oto z „bezgraniczną cierpliwością i serdecznością" (85) pomaga w nauce Alinie — słabiutkiej uczennicy. „Kocha Alinę. Ona już tak zawsze kocha tylko słabych i bezbronnych" (85), jakkolwiek zbyt często drwi z mocnych i — zakochanych. Nie ma miejsca w jej psychice na miłość romantyczną i zaburzenia intymne. Kobieta zimna, wychodzi za mąż — z głębokiego przekonania i sympatii. Nie dociera do niej prąd erotyzacji w okresie dojrzewania. Przyznać musimy, że miłość romantyczna powstaje w wielu wypadkach na podłożu autosugestii. Klarcia natomiast nie uznaje presji uczuć, jak również innych czynników podbijających psychikę. Nie ma w niej postawy erotycznej, jakkolwiek dysponuje rozległą skalą „emocjonalną". Świadomość wybitnie obiektywna — zwrócona do wartości kulturalnych. Momenty subiektywne nie grają roli dominującej, zjawiają się, jako tło prze-

żyć społecznych. Umysłowość Klarci nie posiada elementów „emigranckich", które decydują w życiu Anki. Klarcia siedmioletnia wrosła w grunt paryski, tym bardziej, że dysponuje korzystniejszym, niż siostra, podłożem dziedzicznym i środowiskowym. Postępuje ustaloną linią życiową w warunkach gotowych. Anka natomiast boryka się z niepewnym losem, coraz traci warsztat pracy i wysłużoną pozycję zawodową. Zarysowuje się pewien separatyzm między siostrami na tle różnic w wykształceniu i charakterach. W wielu rodzinach istnieje ten sam problem: uprzywilejowanie jednej córki kosztem drugiej. Jednostki, które wybiły się w pozycji społecznej, odpadają zwykle od prymitywnego domu rodzinnego. Klarcia potrafi jednak utrzymać się duchowo w macierzystym środowisku, co więcej — asymiluje męża Francuza; zdradza bowiem żywy instynkt odczuwania ludzi i sytuacji. Potrafi wytworzyć z jednostek odrębnych pod względem wykształcenia i przynależności narodowej, środowiskowej — harmonijną grupę rodzinną. Równowagę psychiczną zawdzięcza naturalnej odporności na motywy i sytuacje erotyzujące.

Ciekawe są odosobnienia i zbliżenia wśród dziewcząt. Anka i Pia Monika nie dojdą do głębszego kontaktu duchowego mimo, iż obie pragną wzajemnej przyjaźni. A może zazdrość? Po kilku latach Anka przypadkowo „spogląda na jasne, połyskujące włosy tamtej, na subtelną, smagłą, jak brąz, brzoskwiniową cerę, wielkie ciemne oczy: łapie się na tym, że zaczyna jej zazdrościć" (127). Na tym tle powstają poważne odosobnienia wśród dziewcząt. Przyjęło się bowiem niesłuszne kultywowanie „wybranej piękności". Dziewczę ładne tyranizuje innych lub jest tyranizowane. Piękna buzia, ładna figurka — to duże wartości kobiece, jednak drugorzędne w stosunku do cech psychicznych, wybijają się na plan pierwszy wskutek postępu erotyzacji w młodym pokoleniu. Wyraźnie można dostrzec u dziewcząt „niełądnych" poczucie upośledzenia, które nieraz występuje u Anki. Ciekawie nieraz wyglądają te sprawy na terenie szkolnym. Separatyzm na tym tle z reguły występuje wśród koleżanek. I jeszcze jedno: „ładne panienki" zwykle wnoszą atmosferę erotyczną z przeżyć pozaszkolnych. Problem „ładnych i brzydkich" uczennic wymaga gruntownego przemyślenia. „Pia przyjęłaby z radością przyjaźń Anki" (208), jednak wyczuwa, że do zbliżenia nie dojdzie. Nie tylko moment urody, ale i obcość psychiki tu działa.

Między Anką i Gretl powstaje przyjaźń. A przecież modelka Gretl jest niemal, równie jak Monika, piękna i zgrabna. W dodatku zachowuje się wobec Anki opryskliwie. Zbliżenie opiera się na głębszych przeżyciach podobnych. Moment nieszczęśliwej miłości spaja silnie dziewczęta, gdyż wytwarza zwykle w różnych typach psychologicznych jednakową postawę światopoglądową.

Emigracja wybitnie oddziałała na sprawy dziewcząt. Nawet na Klarcię. „Ile już razy zrywała z Raymondem, a potem godziła się z nim na nowo? Po każdej takiej awanturze coraz pewniej kierowała się rozsądkiem, coraz spokojniej poddawała się losowi zdając sobie widocznie sprawę z tego, że związanie życia z cudzoziemką i dla Raymonda nie jest rzeczą łatwo... Klarcia może będzia miała dzieci" (304), bo inni nie: ludziom bez ojczyzny Bóg nie daje dzieci" (303). Te refleksje Anki wynikają z ogromnej nostalgii, której się już nie pozbędzie. Istotnie, współżycie jednostek różnych narodowości jest skomplikowane i trudne, nawet, gdy nie wchodzi w grę emigracja. Obserwujemy charakterystyczne odosobnienia wśród dziewcząt na tym tle; rozpięta różnica właściwości narodowych nie da się tak łatwo załagodzić — pozostanie.

Powieść Jolán Földes ogarnia dużą skalę zagadnień. Książka nas przekonuje, posiada bowiem rzadkie właściwości: plastykę myśli i przejrzystą konsekwentną strukturę. Poza tym uderza wierność i solidność psychologiczna oraz sub-

telna intuicja w odczuwaniu człowieka. Zaś w psychikę dziewcząt wnika autorka po mistrzowsku. Nie jest to powieść, którą się czyta dla samej przyjemności, czy zainteresowań. Wciąga czytelnika w problemy, przekształca jego nastawienia światopoglądowe. Szczególnie rodzice odczują wartość książki ze względu na wierne i pełne umiaru artystycznego ujęcie spraw dziewczęcych; po przeczytaniu „Ulicy" skuteczniej dotrą do świadomości swych córek dorastających, bowiem powieść — wolna od jakichkolwiek tendencji — kształtuje nową postawę psychologiczno-wychowawczą.

ZBYSZEK ODRABIA LEKCJE.

W pewnym domu zebrało się kilka osób na tzw. fajfie. Było już po siódmej, ostatni goście z gatunku bardziej zażyłych zbierali się do odejścia. Nagle dzwonek. Wchodzi chłopczyk 10—11-letni z zeszytami pod pachą i miną bardzo zatroskaną. Okazuje się, że to Zbyszek, siostrzeniec gospodarza, mieszkający w tym samym domu o piętro wyżej.

— Wujku, bardzo przepraszam, myślałem, że nikogo nie ma... A ja mam do wujka strasznie ważny interes. Ale to ja już sobie pójdę.

Gospodarz wciąga malca do pokoju, zachęca do wyjawienia tego interesu. Okazuje się, że nie może dać sobie rady z zadaną lekcją.

— Mamusia też próbowała pomóc, ale nie umiała. Powiedziała, żebym poszedł do wujka, bo wujek inżynier, to będzie wiedział.

Wszyscy są rozbawieni i zainteresowani, co to takiego, że aż inżynier musi to rozwiązywać. Zadanie z geografii. Chłopiec ma zapisane chaotycznie, o co chodzi. Ostatecznie jednak można się domyśleć, że chodzi o narysowanie siatki geograficznej.

— Ale to jeszcze nie wszystko, to trzeba jeszcze coś wyliczyć.

— Ale co?

— No właśnie, że nie pamiętam.

Wszyscy pochylają się nad zeszytem. Zaczyna się odgadywanie i domyślanie, o co może chodzić. Przede wszystkim kwestia skali. Jest jakaś zupełnie nieprawdopodobnie wielka.

— Możnaby w tej skali zrobić — mówi wujek-inżynier — ale trzebaby wziąć arkusz do kreślenia, a nie mam go w domu.

— Nie, to napewno coś jest nie w porządku — przerywa ktoś inny — przecie napewno kazali im zrobić tak, żeby się zmieściło w zeszycie.

— A dobrze zapisałeś skalę?

— Dobrze... mówi niepewnie Zbyszek.

Znowu wszyscy pochyleni radzą, debatują.

— Wiesz co — mówi ktoś — najlepiej zapytać jakiegoś kolegi, który dobrze się uczy, bo z tego co masz zapisane, to niewiadomo, o co właściwie chodzi.

— No, to wiesz co — mówi wujek — idź na górę i poproś mamusię. Wiem, że ma migrenę i dlatego nie przyszła do nas, ale powiedz, że teraz sami swoi. Może się jakoś dogadamy.

Malec idzie i za chwilę przychodzi z mamusią. Mamusia zbolałym głosem przeprasza za to, że jest „nieubrana".

— Co oni wyrabiają w tych szkołach — mówi pełna oburzenia — zadają takie trudne rzeczy, że dorosły człowiek nie może tego zrobić! Doprawdy, że już sami nie wiedzą, czego chcą!

— Tak, tak — podtrzymuje inna pani— jakieś wykresy, rysunki... Za naszych czasów tego nie było. Od dziecka wymaga się Bóg wie czego!

— Wujku — mówił płaczliwie Zbyszek — ale musisz mi zrobić ten rysunek, bo dostanę zły stopień. Już dwa razy nie umiałem lekcji!

—Jabym ci zrobił, ale nie wiem dobrze, co właściwie trzeba wyliczyć, poza siatką, bo sam tego nie wiesz. Zrobię nie to, co trzeba i będzie jeszcze gorzej, bo odrazu będzie wiadomo, że to nie ty.

— Najlepszy dowód co wyrabiają — biadała mama — inżynier, technik, zna się na kreśleniu, i nie może tego zrobić!

— Ależ proszę pani — wtrąciła się milcząca dotąd pani — przecież pan tylko dlatego nie może pomóc, że Zbyszek nie zapisał porządnie, co trzeba zrobić. W takich warunkach nikt mu nie pomoże. Przecie napewno to było objaśniane na lekcjach, przerabiane, tłómaczone. Jeśli nie rozumiał, powinien był powiedzieć. Dlaczego dopiero w ostatniej chwili okazuje się, że nic nie rozumie? Ja z moim Stasiem nigdy nie mam takich kłopotów. Jak nie rozumie czego, to prosi nauczycielkę o wyjaśnienie, a potem odrabia lekcję sam. Nigdy mu nie pomagam.

— Ach, pani Staś to zupełnie inny typ dziecka — powiedziała mama Zbyszka z kwaśnym uśmiechem. — To taka zdrowa, pozbawiona nerwów, nieskomplikowana natura... Och, to oczywiście tylko zaleta — pośpieszyła dodać. Ale mój Zbyszek — to takie wrażliwe dziecko. Nieśmiały, boi się zapytać. A przytem specjalnie jakoś czepiają go się w szkole.

— Daruje pani, ale ja nie wierzę w to „czepianie się"... Czasem tak wygląda to w relacjach dziecka, a przy rozmowie z nauczycielem widzi się drugą stronę medalu. Czy pani rozmawiała z nauczycielką geografji?

— Nie. Nie znam jej wcale. Co ja mam jeszcze z nimi rozmawiać, płacę za szkołę po to, żeby go uczyli. Ja nie mam czasu na takie rozmówki!

Matka Stasia już nic nie powiedziała. Wiedziała, że matka Zbyszka nie pracuje poza domem, że mąż jej jest dobrze sytuowany, że ma dwoje służby i domem zajmuje się minimalnie, a jej zajęcia polegają głównie na chodzeniu do krawcowej, modystki, salonów kosmetycznych i kawiarni. Czy miała jej powiedzieć, że sama, pracując zawodowo, znajduje jednak zawsze czas na kontakt ze szkołą? Że uważa sprawę wychowania dziecka — za najważniejszą?

— A kiedy wam to zadali, Zbyszku? — pyta.

— Ach, już jakieś 10 dni temu.

— I nie mogłeś wcześniej tego zrobić? Przecież gdyby się okazało choćby wczoraj, że tego nie rozumiesz, to można byłoby się dowiedzieć jeśli nie od nauczycielka, to od kolegów, którzy to umieją!

— A bo... Bo tak mi się nie chciało zajrzeć...

Ostatecznie uchwalono, że Zbyszek nie zrobi zadania i pójdzie odważnie do nauczycielki przyznać się, że był roztargniony na lekcji, nie zapisał uważnie, a potem przemarnował 10 dni i nie dowiedział się, o co chodzi. Tak będzie lepiej. Ale trudniejsza sprawa była z mamą Zbyszka. Mama czuła się pokrzywdzona, że jej dziecku nie chcą pomóc. Wolałaby zostawić go w domu i napisać mu zwolnienie.

Gdyby mama Zbyszka i bardzo wiel innych mam, nie interesujących się zupełnie pracą dziecka w szkole i poza szkołą — sprawdziły codzień, co jest zadane i na kiedy, gdyby poszły od czasu do czasu do szkoły dowiedzieć się, jak wygląda sylwetka ich dziecka na tle szkoły — napewno mniej byłoby złych stopni i nieumianych lekcji. Ale mama „nie ma czasu".

H. Pieczarkowska.

WSPÓŁPRACA DOMU I SZKOŁY.

„Dziecko nie powinno wycierać obcych kątów...”

Z ogromnym zainteresowaniem i prawdziwą radością przeczytałam w Nr. 4 „Rodziny i Dziecka” sprawozdanie nadesłane przez Państw. Gimn. im. Króla Wład. Jagiełły w Dębicy. Pomysł kształcenia charakteru dziecka w rodzinie, nawet obcej, nie jest nowy, jednak jakże często spotyka się z oburzonym protestem niektórych nawet wybitniejszych ludzi.

Przypominam sobie rozmowę, jaką miałam tej zimy z kimś, stojącym na jednym z naczelnych miejsc instytucji, mającej nieograniczony zasięg możliwości propagandowych. Chodziło o odczyt na temat zagadnień szkolnych. Omawiając sprawę społecznej pracy młodzieży w szkole, podniosłam temat współpracy koleżeńskiej w nauce. Dowodziłam, iż można traktować jako czyn społeczny bezinteresowną pomoc ucznia w odrabianiu lekcji mniej zdolnemu i niezamożnemu koledze z tej samej klasy. Jeśli kolega ów pracuje samodzielnie i pomocy naukowej nie potrzebuje, natomiast w swoim domu nie ma spokojnego kąta do uczenia się, jako czyn do pewnego stopnia społeczny mogą być uważane zaprosiny biedniejszego kolegi do domu bogatszego, aby tam stale przygotowywał swoje zadania szkolne. Tutaj spotkałam się z pełnym oburzenia sprzeciwem:

— Dziecko nie powinno wycierać cudzych kątów. Jeśli w domu własnym brak mu miejsca i warunków do nauki, szkoła powinna się nim zająć. Tacy uczniowie muszą znaleźć odpowiednią opiekę w szkole i miejsce w niej do pracy.

Jeżeli tak tylko będziemy dowodzić, można dojść do wniosków wręcz odmiennych. Przypadkowo mam trochę danych na temat braków kompetentnej i serdecznej opieki w niektórych świetlicach szkół powszechnych, gdzie niezamożna młodzież po południu odrabia lekcje...

Jednak jak wszędzie, tak samo i tu, strzec się trzeba zbyt daleko idących uogólnień. Skłonna jestem raczej do optymizmu w stosunku do wzajemnych korzyści, jakie wynikają ze ścisłej współpracy domu i szkoły w formie grupowego wychowywania i nauczania młodzieży na terenie domu prywatnego.

Inicjatywa Państw. Gimn. im. Kr. Wład. Jagiełły w Dębicy jest bardzo ciekawa. Tym więcej, iż, jak widać ze sprawozdania, próby są ściśle obserwowane i opierają się na naukowych przesłankach.

Oczywiście, że nie wszędzie taką inicjatywę można podjąć. Niewielu jest rodziców, którzy znajdą czas, mają ochotę a może i przygotowanie osobiste, aby wziąć na siebie obowiązek patronowania grupie młodzieży, która codzień spędzać ma kilka godzin na nauce i zabawie w ich domu, względnie pod ich opieką w szkole. Nasi przepracowani nauczyciele nie zawsze mogą jeszcze kilka godzin swego czasu ofiarować w tym celu nawet na terenie szkoły. Wydaje mi się zresztą, że patronem takich grup młodzieży, o których mowa w sprawozdaniu gimnazjum w Dębicy, powinien być nawet w szkole przy popołudniowych zajęciach i zabawach uczniów ktoś z poza grona nauczycielskiego.

O ile mi wiadomo, żadna ze szkół stolicy podobnej akcji nie zainicjowała. Znane mi są jednak pewne sporadyczne próby w niektórych domach prywatnych. Byłoby ciekawe usłyszeć uwagi i spostrzeżenia tych rodziców, którzy chętnie w swych domach widzą kolegów czy koleżanki swych dzieci i utrzymują z młodzieżą życzliwy kontakt. Wypowiedzenia się te mogły by być oparte na pytaniach przytoczonej ankiety z Dębicy.

P. M.

GŁOSY RODZICÓW.

Młodzież szkolna na obozach.

Szybkim krokiem zbliża się lato. W szkołach kończą się lekcje i młodzież po trudach całego roku oczekuje dobrze zasłużonego odpoczynku. Jedni więc wyjadą na wakacje z rodzicami, inni sami, bądź w towarzystwie kolegów. Spory procent spędzać będzie letnie miesiące na obozach. Nauczą się tam dużo pożytecznych rzeczy, w wielu wypadkach usamodzielnią się i uodpornią, — poznają inne życie.

Jednakże często rodzice nie chcą swych dzieci wysyłać na obozy nietylko z obawy, że mogą one zachorować, ulec jakiemuś wypadkowi, ale w ogromnej większości dlatego, że synowie ich mogą się na obozie popsuć, nabrać złych nawyków, jednym słowem, raczej utracić zbyt dużo ze swych zadatków moralnych niż cokolwiek zyskać.

Jest w tych zastrzeżeniach niewątpliwie dużo racji, ale i dużo przesady. Zapewne, że obóz dla młodzieży szkolnej musi być i doskonale prowadzony i wysoko postawiony pod względem moralnym. Bo nie wystarczy, jeżeli chłopiec nauczy się dobrze pływać czy żeglować, lub też nabierze dużej sprawności fizycznej, potrafi więc dobrze obchodzić się z bronią, strzelać, jeździć konno czy też zdobędzie stopień pilota — o ile przytem powróci ze złymi narowami, pod każdym innym względem rozpróżniaczony, często nauczony przez towarzyszy picia, palenia, grania w karty, nie mówiąc już o jeszcze gorszych wybrykach.

Nic więc dziwnego, że każda matka, wysyłająca swe dziecko na obóz, interesuje się przede wszystkim jego kierownictwem, żąda aby opieka na obozie była dostateczna. Rodzice mają zastrzeżenia do takich obozów, gdzie kierownikiem odpowiedzialnym za duszę i ciało dziecka jest ktoś nieodpowiedni, nie mający pojęcia o metodach wychowawczych, zły psycholog, skąd inąd zresztą posiadający bardzo wiele walorów czy to pod względem wyrobienia wojskowego, czy sprężystości i zdolności organizacyjnych, ale traktujący swych młodziutkich podwładnych jak dorosłych, obeznanych z życiem rekrutów, — czasem znów za łagodny, zanadto koleżeński, nie umiejący zachować swego autorytetu, przez co dający zbyt wiele swobody uczestnikom obozu. A przecież ten młody element jest niesłychanie wrażliwy i nadzwyczaj szybko przyswaja sobie nietylko wszystkie dobre, ale i złe przykłady.

To też niejednokrotnie nawet sami chłopcy powracają z takich obozów niezadowoleni. Krytykują wszystko, także i to co jest skądinąd dobre, a tylko źle podane. Co więcej, niechęć swoją bardzo często rozciągają na Bogu ducha winne organizacje, z ramienia których urządzane były obozy, a szerząc niepochlebne mniemanie szkodzą tym tak pożytecznym przedsięwzięciom. Dają one bowiem bardzo dużo młodzieży. Przede wszystkim uczą ją współżycia nietylko na jednej ławce w szkole, ale w każdej złej i dobrej doli od rana do nocy. Regulamin wdraża chłopców w systematyczne i obowiązkowe życie codzienne, czynności polecane do wykonania grupom — wyrabiają solidarność zespołową, a w jednostkach poczucie odpowiedzialności. Przy tym wszystkim przebywanie na świeżym powietrzu, pod gołym niebem w prymitywnych warunkach ogromnie hartuje. Trzeba tylko dbać o to, aby obozy były należycie zorganizowane i posiadały odpowiednią opiekę.

A więc, jeśli chodzi o młodzież ze szkół średnich i powszechnych, to nawet uczniowie wyższych klas nie powinni jeździć na t. zw. obozy akademickie i wogóle na obozy dla ludzi dorosłych, a nawet obozy takie nie powinny być urządzane w pobliżu, gdyż jak to jest powszechnie wiadomo, nie można narzucić osobom starszym tak ścisłego regulaminu, aby ograniczał ich swobodę tylko do ram życia obozowego. Stąd też widzimy nieraz wracających późną nocą

z różnych lokalów rozrywkowych panie i panów zbyt wesołych, nie zwracających uwagi na otoczenie, niekiedy w nietrzeźwym stanie. A chłopcy zaraz biorą zły przykład i przy najlepiej nawet zorganizowanej opiece jeden czy drugi znajdzie sposobność, aby wymknąć się z obozu i uczestniczyć w zabawie starszych, często dla młodych nieodpowiedniej.

Co zaś do koedukacji, to sądzę, że wspólnie przeprowadzane gry, czy zabawy, pogadanki czy ogniska mogą wnieść dużo urozmaicenia i dodatnio wpłynąć na obie płci. Jednakowoż na kierownictwo spada wtedy jeszcze większa odpowiedzialność i troska, aby młodzież spotykała się tylko w godzinach na to wyznaczonych, w obrębie obozu i pod czujnym okiem opiekunów. W takich wypadkach, gdy dwa obozy męski i żeński sąsiadują z sobą, musi być ściśle przestrzegany regulamin, a wszelkie wykroczenia surowo karane.

Zresztą na obozach, gdzie przebywa młodzież szkolna, sprawa przestrzegania regulaminu jest niezmiernie ważną, jednakże nie należy jej stawiać tak jak w wojsku bezwzględnie i rygorystycznie, łagodniej lecz stanowczo.

Otóż rodzice przed wysłaniem na obóz swych dzieci powinni się dobrze zorientować i dokładnie poinformować, jak wygląda taki czy inny obóz, jak jest prowadzony, a wreszcie tam, gdzie to jest możliwe, zgłosić się do pomocy, a nawet wyjechać razem w charakterze opiekunów. Wtedy zapewnią swym pociechom takie wakacje, które z przyjemnością wspomina się przez dłuższy czas.

Maria Piskorska.

Obozy Przysposobienia Wojskowego.

Mając trzech synów — jeden już jest na wyższych studiach, a dwóch w szkole średniej — starałem się być zawsze w jak najbliższym kontakcie ze szkołą, w której się kształcą moje dzieci, jestem bowiem gorącym zwolennikiem współpracy domu i szkoły.

Wśród rodziców kolegów moich chłopców zauważyłem pewną nieufność i bojaźliwość w stosunku do letnich obozów P. W. dla młodzieży szkolnej.

Niechęć, szczególnie matek, do wysyłania synów na te obozy jest często dyktowana przesadną obawą o zdrowie swych pociech, nieuzasadnionym lękiem przed wysiłkiem fizycznym i niewygodami życia obozowego. Rodzice zapominają jednak, że młodzieniec spędzający część wywczasów wakacyjnych na świeżym powietrzu, w obozie hartuje się fizycznie *i przystosowuje do przyszłej służby wojskowej,* gdzie nikt nie będzie pytał rodziców o zgodę przy organizowaniu surowego życia żołnierskiego. Oczywiście, że trudy, niewygody i wysiłek fizyczny muszą być dostosowane do wieku młodzieży. Od tego są jednak opiekunowie obozów, odpowiedzialni służbowo przed swą władzą.

Rodzice powinni interesować się organizacją obozów P. W. Ich uwagi mogą być bardzo ważnym materiałem dla kierowników, ponieważ mają możność obserwowania wpływu obozu przez czas dłuższy i w warunkach życia codziennego, ale nie należy zapominać, że zasadniczym celem obozów P. W. jest uodpornienie młodych organizmów i wdrożenie umysłu do karności.

Rodzice muszą pamiętać, że są to obozy *Przysposobienia Wojskowego,* a ponieważ służba w wojsku jest często niełatwa, dobrze jest przygotować chłopców wcześniej, żeby przeskok od łatwego życia w domu do dużych wysiłków w wojsku nie był za wielki.

Ojciec.

Czy tak być powinno?

Dzieci nie powinny wtrącać się do spraw i zatargów osób starszych, a tym bardziej do spraw, dotyczących nieporozumień rodziców — jest to zasada ogólnie przyjęta w teorii, niestety w życiu codziennym niedostatecznie przestrzegana i doceniana.

Obserwując bacznie dzieci, żyjące w anormalnej atmosferze nieporozumień osób, stanowiących ich najbliższe otoczenie, z łatwością zauważyć można, iż starają się one stać na uboczu i niechętnie, niemal z odrazą wewnętrzną słuchają sprzeczek i kłótni domowych. Ich przywiązanie i trudność zrozumienia istotnych powodów zatargu nie pozwala im brać w nich udziału i wtrącać się do spraw osób starszych.

A tymczasem ci właśnie starsi, którzy powinni być przykładem, nie tylko nie umieją się powstrzymać od gorszących scen, ale często nawet wciągają niebacznie dzieci w wir spraw obcych ich młodym duszom.

Bywają nawet wypadki, iż jedna ze stron szuka oparcia i świadectwa prawdy u dziecka, nie myśląc o tym w jak ciężkiej, wewnętrznej rozterce postawione jest dziecko, kochające oboje rodziców, jak trudno jest mu świadczyć, choćby w obronie prawdy, przeciw jednemu z rodziców, jak ciężko mu przyznać — a więc zrozumieć i uświadomić sobie, że ojciec lub matka są winni. Nie można się wtedy dziwić, iż u takiego dziecka następuje wewnętrzne załamanie.

Zaślepienie rodziców i osób starszych doprowadza niejednokrotnie do zgoła dzikich stosunków, gdzie dzieci zamiast ufać starszym dzielą się w stosunku do nich na dwa wrogie obozy.

Mam tu na myśli rodzinę, w której rodzice wciągnęli w swe najbardziej intymne zatargi dwoje bardzo miłych i inteligentnych dzieci — skutkiem czego każde z nich stanowiło obóz jednego z rodziców. Matka z synem występowała przeciw ojcu bronionemu i kochanemu przez córkę.

„Mamusia kocha tylko Adasia" — skarżyła się dziewczynka, — „Tatuś wyróżnia Halinkę, a mnie nie lubi".

Gorzej jednak bywa, jeśli zatargi rodziców wychodzą poza ramy domowe, jeśli odbywają się w obecności osób trzecich, obcych; dzieci wtedy czują się upokorzone, wstydzą się własnych rodziców, stają się zamknięte w sobie, zgryźliwe lub, co gorsza, tracą miarę oceny zła i ustosunkowują się obojętnie do niego.

Podobnie, ale już na innym tle przedstawia się sprawa dzieci, będących świadkami porachunków i zatargów między ludzmi starszymi, wynikających w różnych środowiskach i różnych okolicznościach.

Same już pisma, a zwłaszcza prasa codzienna, dostarczają dosyć materiału, rozsnuwając w nieskończoność najbardziej drażliwe procesy, sądy i wyroki. Najbardziej przykre i brudne sprawy są tematami rozmów domowych, odbywających się w obecności dzieci. Wyrafinowane lub brutalne zbrodnie, przestępstwa i porachunki, opisy prawdziwe i nieprawdziwe kalectwa duchowego ludzi — oto sprawy, których słuchają dzieci, biorąc nawet czynny udział w dyskusjach i ferowaniu dowolnych opinii i wyroków. Sprawy te tym bardziej interesują dzieci, im bliższe są ich środowiska: szkoły, domu lub osób, z którymi mogą mieć styczność.

Wciąganie dzieci w sprawy i zatargi ludzi starszych, szukanie u nich opinii lub świadectw przeciw jednej ze stron jest najbardziej nieodpowiedzialnym ciosem w etykę i moralność młodzieży. Podważanie zaufania, napaści, sądy i rozpatrywania tła przestępstw, wad i ułomności moralnych ludzi dorosłych, pranie brudów i rozciąganie ich przed czystymi oczyma dzieci, równa się zbrodni zatruwania ich duszy. Dla żadnych powodów, chociażby najbardziej pozornie

słusznych, czynić tego nie możemy, jeśli nie chcemy być sprawcami moralnymi obniżenia i wypaczenia charakteru dziecka.

„Winien czy nie winien" nie powinno być nigdy poddawane pod sąd dzieci, ani nie powinno być tematem dyskusji domowej, a sprawy drażliwe, moralnie obniżające codzienne otoczenie dziecka, powinny leżeć poza sferą jego zainteresowań. Wciąganie dzieci w sprawy i zatargi dorosłych stwarza podkład zła w ich duszy, wciąga je w otchłań brudu i nędzy moralnej starszych. Szkoła i dom powinny stworzyć dla dziecka atmosferę pogodnej ufności, spokoju i światła, w których rozwijać się będą ich charaktery i umacniać dusze.

Odporność bowiem na destrukcyjne wpływy otoczenia leży raczej w czystostości serc młodzieży, niż w pośpiesznym odsłanianiu ran i ułomności życia.

S. O. S.

Czyja wina.

Znane są „kawały" szkolne młodzieży zarówno wychowawcom jak i rodzicom, — niejednemu z profesorów zatruły życie, niejednej matce, pokutującej za popełnione, a czasem i nie popełnione winy dziecka, wycisnęły gorzkie łzy z oczu i niejednemu autorowi dały świetny pomysł do nowelki lub humoreski.

Kawały, złośliwe czasem żarty, wybryki i nieoględność dzieci są przecież tematem niezliczonych konferencyj i wieczystym zmartwieniem szkoły i domu. Zresztą kawały sztubackie znajdowały nieraz swoiste uzupełnienie i w życiu akademickim, ale nie o tym pragnę mówić — chodzi mi bowiem o dzieci i młodzież szkolną, a szczególniej o stosunek szkoły i rodziców i możliwości stosowania sankcyj karnych do niesfornych jednostek — czy zespołów, biorących udział w jakiejś szkolnej awanturze, co znacznie utrudnia już sprawę. Przestępstwa i szaleństwa młodzieży różnej mogą być natury: od nieoględnego zniszczenia przedmiotów, będących własnością szkoły (zbicie szyby, uszkodzenie przyrządu etc.), rozgrywek, zatargów i nieporozumień między samą młodzieżą (bójki, bojkot lizusów, drwiny, przezwiska itp.) do właściwych kawałów i niewłaściwych żartów, na jakie bywają narażeni niektórzy z profesorów. N i e k t ó r z y, bo młodzież zadziwiająco wrażliwa na niesprawiedliwość i oschły, obojętny stosunek do siebie, rzadko kiedy dotknie niewłaściwym żartem swoich ulubieńców, którzy umieli zdobyć sobie uznanie, zaufanie i przyjaźń, — a czasem miłość dziecka — ci są nietykalni i ochraniani przez najbardziej pomysłowe i śmiałe jednostki.

Jest jeszcze jedna forma przestępstw młodzieży, trudna do opanowania ze względu na tło, na jakim powstaje — jest nim chęć wydobycia z kłopotu, osłony przed karą lub nieprzyjemnościami własnego kolegi czy zespołu koleżeńskiego — chęć ta graniczy nieraz z bohaterskim wzięciem odpowiedzialności na własny rachunek. I w tym leży cała trudność rozwikłania i właściwego wyjaśnienia sprawy.

Tego rodzaju solidarność — ale już zespołowo, gromadnie traktowana — występuje często w awanturach szkolnych, powstających na tle szukania właściwych winowajców. Kto wybił szybę, z czyjego podszeptu urządzono nowy kawał, z czyjej winy stało się to lub owo w szkole — zaczyna się dochodzenie, sprawdzanie, rozbijające się o solidarność koleżeńską młodzieży.

Zło, niewątpliwie naruszające normalny bieg zajęć szkolnych, należy zasadniczo zwalczać, ale trudność tej walki leży w tym właśnie, iż za zwyczaj trudno znaleźć właściwą sprężynę działania. Dzieci umieją milczeć, a na pytanie „czyja wina", zwłaszcza, gdy chodzi o skórę lubianego kolegi, odpowiadają zaciętym milczeniem — „nie wiem", „nie mogę powiedzieć" jest wymownym,

ostrzegawczym znakiem — nie należy więc przeciągać indagacji i dochodzeń, bo nie tylko nie dadzą pozytywnego rezultatu, ale nad to wzmogą upór i nastawią młodzież zgoła niechętnie do czynników wychowawczych.

Solidarność młodzieży, nawet w wypadku wyrządzonego zła przez kolegów, ma tę dobrą stronę, że zdolna jest do daleko idących ofiar współodpowiedzialności, nietylko w sensie materialnego wynagrodzenia za szkodę, ale o wiele ważniejszego moralnego nastawienia młodzieży. Ta zadziwiająca i równocześnie irytująca czasami szkolna solidarność jest jednak walorem, którego nie można bezkarnie naruszyć.

W życiu starszego społeczeństwa istnieje zbyt ostra i bezwzględna walka o byt, niszcząca i podważająca podstawy solidarności i wzajemnego zaufania ludzi. Społeczeństwo „dorosłe" zbyt szybko zaczyna sobie torować łokciami drogę, nie przebierając w środkach; karjerowiczostwo tak bliskie, pokrewne duchem „lizusostwu szkolnemu" jest aż nadto rozpanoszone na świecie, abyśmy dobrowolnie, własnymi rękami mieli przełamywać chowający się jeszcze w murach szkolnych front solidarności koleżeńskiej — najpiękniejszej, bo bezinteresownej cnoty młodego wieku.

P. S.

SPRAWOZDANIA.

LICEA ZAWODOWE.

Młodzież kończąca w tym roku gimnazjum nowego typu zarówno jak i jej rodzice stają wobec trudnego zagadnienia. Co dalej czynić? Na gimnazjum ogólnokształącym nie zawsze można poprzestać, liceum ogólnokształcące o bardzo trudnym programie będzie mogła ukończyć tylko młodzież o nieprzeciętnych zdolnościach, a liceum zawodowe wymaga zdecydowanych już, skrystalizowanych zamiłowań. Trzeba dokonać wyboru, w jakim kierunku pójść dalej. Możliwości zaś wyboru są liczne, ale zorientować się w nich trudno. Co do liceów zawodowych należy stwierdzić, że otwierają one nowe drogi, nowe typy wykształcenia zawodowego, które próby życia przeważnie jeszcze nie przeszły. Jakie będą uruchomione licea zawodowe, jakie im będą przysługiwały uprawnienia, to rzecz przeważnie mało ogółowi wiadoma.

Aby zadość uczynić potrzebie zorientowania się rodziców w sprawie tak doniosłej, Koło Przyjaciół „Rodziny i Dziecka" zorganizowało odczyt informacyjny o liceach ogólnokształcących, który w dniu 7 maja wygłosił Naczelnik Wydziału Min. W. R. i O. P. p. Adam Bedyński.

Odczyt ten dokładnie poinformował zgromadzonych, jakiego typu licea zawodowe uruchomione będą w roku bieżącym. (Dokładny ich spis znaleźć mogą zainteresowani w specjalnej broszurze: „Spis szkół zawodowych" wydanej staraniem Koła Warsz. Stowarzyszenia Nauczycieli szkół zawodowych). Zasadnicze ich typy to: licea techniczne, przemysłowe, handlowe i gospodarcze.

Tworzące się obecnie licea mają na celu uczynienie zadość najpilniejszym potrzebom naszego życia gospodarczego. Czas studiów trwa w nich naogół dwa lata, ale może być przedłużonym w niektórych liceach na trzy, w celu dodatkowej specjalizacji.

W następnych latach sieć liceów będzie rozszerzona, ale w ich rozbudowie władze liczą się przede wszystkim z istotnym zapotrzebowaniem sił fachowych w kraju. Licea zawodowe nie zamykają drogi do studiów wyższych. Będą one dostępne dla absolwentów na podstawie pewnych egzaminów dodatkowch, które we właściwym czasie ustali odpowiednia ustawa.

Doniosłe te wyjaśnienia, udzielone przez Naczelnika Bedyńskiego, pozwoliły na pierwszy rzut oka zorientować się, że młodzież męska jest znacznie w dalszej specjalizacji zawodowej uprzywilejowana w stosunku do młodzieży żeńskiej, dla której liceów

typu technicznego i przemysłowego przewiduje się bardzo niewiele. Z liceów gospodarczych ciekawą a doniosłą inowacją będzie liceum gospodarstwa domowego. Niestety, Warszawa takiego liceum w roku bieżącym mieć nie będzie.

Sprawa poinformowania rodziców o liceach zawodowych, ba, wręcz propagandy tych liceów jest sprawą żywotną, bo w tym roku za mało się jeszcze ogół społeczeństwa nimi interesuje, za mało sobie zdobyły zaufania jako instytucja całkowicie nowa, a skutkiem tego będzie niewątpliwie zbyt forsowne kierowanie młodzieży na studia ogólnokształcące, nieraz wbrew jej zamiłowaniom a nawet uzdolnieniom.

Dlatego też, z inicjatywy Zjednoczenia Zrzeszeń Rodzicielskich, Izba Przemysłowo Handlowa w Warszawie zaprosiła na dzień 14 maja przedstawicieli Kół Rodzicielskich na konferencję w sprawie liceów Zawodowych. Na ten temat zorganizowała Izba 4 odczyty dla rodziców w różnych dzielnicach miasta.

Niestety, na konferencję przybyli dość nieliczni przedstawiciele kół rodzicielskich. Jeszcze to jeden dowód, że sprawa liceów jest u nas za mało popularna. Konferencja miała charakter wybitnie propagandowy, była to propaganda jak najlepiej uzasadniona i jak najbardziej celowa.

W żywym swym przemówieniu p. Jakubowski, dyrektor Izby Przemysłowo Handlowej, zwrócił uwagę na brak u nas szczebli społecznych, brak warstwy środkowej, któraby w społeczeństwie naszym odegrała rolę oficerów liniowych. Mamy liczne doły, szerokie masy pracowników społecznych, mamy szczyty, grupę nazbyt liczną, niestety, oficerów sztabowych — ludzi z wyższym wykształceniem. Brak nam ludzi o średnim wykształceniu zawodowym, brak zresztą i podoficerów, fachowców o niższym wykształceniu zawodowym. Mówi się o uprzemysłowieniu kraju. Trapimy się brakiem kapitałów, a stokroć groźniejsza katastrofa nam grozi — brak rąk i mózgów do pracy wykwalifikowanej.

W społeczeństwie naszym trzeba obalić dwa niebezpieczne przesądy: Niechęć do pracy samodzielnej. Wmawiamy sobie, że nie mamy uzdolnień do pracy zawodowej, przeczy temu historia. Utarł się przesąd, że przemysłowiec musi być zaraz magnatem-kapitalistą, że kupiec — to spekulant, a rzemieślnik — wypędek, który uczyć się nie chciał, więc oddano go do rzemiosła. Drugi przesąd, to ideał urzędnika, do którego to stanowiska wiedzie droga przez wyższe studia. W Ameryce, człowiek który idzie na urzędnika, to człowiek zwichnięty. Warstwa urzędnicza — to element społecznie słabszy, mniej wartościowy. Czas zerwać z jałowym snobizmem studiów wyższych, które trwają długo, są kosztowne, a w rezultacie dają nieprzeliczone szeregi dyplomowanych bezrobotnych, tęskniących do skromnej posadki za 150 złotych. Ich studia — to był stracony czas, stracony kapitał.

Musimy dążyć do uzawodowienia społeczeństwa. Inaczej, nasze sny o potędze Polski długo jeszcze snami pozostaną.

Inny z mówców, p. Chmielewski, nacz. Wydziału Izby Przemysłowo - Handlowej, zwrócił uwagę na szczeblowość i zróżniczkowanie w organizacji naszego szkolnictwa zawodowego. Szczebel pierwszy stanowią absolwenci szkół powszechnych, przechodzący odrazu do dokształcających szkół zawodowych. Drugi — absolwenci gimnazjów zawodowych. Trzeci — absolwenci liceów zawodowych. Czwarty — absolwenci wyższych uczelni.

Ustrój szkolnictwa zawodowego nigdzie nie pozostawia ślepej uliczki, w każdym stadium pozwalając jednostkom zdolnym i mającym zainteresowania teoretyczne na dalsze kształcenie się i zdobywanie wiedzy, a każdy ze szczebli wypuszcza do życia zawodowego dobrze przygotowanych fachowców. Liceum zawodowe ma dać nowy typ inteligenta - zawodowca, na którego wielkie jest dziś zapotrzebowanie, zarówno w handlu jak i w przemyśle.

Ciekawe te i rozumne uwagi mogłyby przekonać niejednych z pośród rodziców, troszczących się o to, co robić dalej z abiturientami nowego gimnazjum ogólnokształcące-

go, do zainteresowania się możliwościami, jakie się otwierają przed ich dziećmi w nowych liceach zawodowych.

Spragnionych bliższych informacyj możemy zresztą odesłać do Biura Informacyjnego o Szkołach Zawodowych w Warszawie, prowadzonego przez Związek Nauczycieli Szkół Zawodowych, Żurawia 9, czynnego w środy i piątki od 17 — 19, a które chętnie każdemu udzieli bezpłatnie informacyj, dotyczących umieszczenia młodzieży oraz prospektów szkół zawodowych wszelkiego typu.

ŚLĄSKI ZAKŁAD DLA GŁUCHONIEMYCH W LUBLIŃCU.

Otrzymaliśmy I rocznik Śląskiego Zakładu dla głuchoniemych w Lublińcu z prośbą o zapoznanie naszych czytelników z istnieniem i pracą tego nowoczesnego Zakładu, przeznaczonego dla dzieci głuchoniemych z całej Polski.

Nadesłany Rocznik zapoznaje czytelnika ogólnie z programem nauczania, z atmosferą wychowawczą i kierunkiem opieki społecznej na odcinku śląskiego szkolnictwa.

Kalectwem głuchoniemoty jest dotknięte przeszło 40.000 ludzi w Polsce. Zakłady dla głuchoniemych przyjmują dzieci, które są psychicznie zupełnie normalne, a które ogłuchły w okresie nabywania mowy lub już urodziły się głuche i dlatego pozostały nieme.

Zadaniem nauczyciela w pierwszych tygodniach jest przyzwyczaić dzieci do obcego środowiska. Czyni to początkowo za pomocą zabawy. Zwolna dzieci uczą się nazw przedmiotów i czynności i wyrażania swych uczuć i życzeń na piśmie. Gdy w dziecku budzi się chęć do mówienia, wkracza racjonalna nauka. Dziecko musi się nauczyć rozumieć mowę głosową. Ludzie słyszący pojmują mowę głosową przez ucho, głuchoniemy pojmuje mowę drogą wzrokową. Mowa dźwiękowa jest dla niego zjawiskiem nie słuchowym lecz wzrokowym. Szkoła nie zadawala się jednak tym, aby dziecko mogło tylko odczytywać mowę z ust innych i rozumieć ją, lecz, żeby mogło samo mówić. Jest to możliwe, gdyż narządy mowy głuchoniemego są normalnie rozwinięte. Nauka wymowy odbywa się z każdym dzieckiem z osobna. Nauczyciel wolno i wyraźnie wymawia wyraz, a dziecko patrząc na jego usta próbuje wyraz naśladować. Chcąc nauczyć dziecko, aby nie mówiło szeptem, nauczyciel posługuje się zmysłem dotyku, przykładając rękę dziecka do gardła przy wymawianiu wyrazu. Dziecko odczuwa wyraźnie drżenie wiązadeł głosowych, czego nie ma przy szepcie. W języku głuchoniemego odczuwa się brak rytmu, odpowiedniego akcentu, melodyjności. Mimo to mowa głosowa oddaje mu daleko większe usługi aniżeli mowa migowa. Bowiem mowa migowa jest bez odmian gramatycznych, nie zna różnych rodzajów słów, zapas znaków mowy migowej jest bardzo ubogi, poza tym nie ma uniwersalnej mowy migowej, przy pomocy której mogliby się wszyscy głuchoniemi, chociażby na terytorium danego państwa porozumieć. Każde bowiem środowisko wytwarza swój specjalny dialekt migowy, niezrozumiały dla innych środowisk. Szkoła nie zakazuje dzieciom mowy migowej, ale w czasie nauki nie uwzględnia się znaków migowych.

Do programu ogólnokształcącego, który obejmuje naukę mówienia, religię, rachunki, przyrodę, historię, geografię, zajęcia praktyczne i gimnastykę, dołącza się obecnie program przysposobienia zawodowego. Głuchoniemy opuszczając szkołę po 8 latach wykazuje dużą różnicę w porównaniu z głuchoniemym niekształconym w ogóle. Szkoła nauczyła go pisać, czytać, mniej lub więcej wyraźnie mówić, rozwinęła jego umysł, dała mu do ręki zawód lub przygotowanie do zawodu. Uczyniła go pełnowartościowym pod względem społecznym, to znaczy, że pozwoliła mu pracować na chleb, miast być ciężarem dla społeczeństwa. Praca wykwalifikowanego głuchoniemego jest pełnowartościowa, oczywiście wykluczając zawody wymagające dobrego i zdrowego słuchu.

Podstawowe wiadomości zawodowe wszyscy chłopcy otrzymują w warsztatach zawodowych. W przeciągu 3 lat, każdy chłopiec przechodzi obowiązkowo wszystkie warsztaty, zaznajamiając się z obróbką drzewa, tkanin, papieru, żelaza, blachy i skóry. W ten sposób szkoła może spostrzec do jakiego zawodu chłopiec najbardziej się nadaje i za-

czyna go specjalizować już w obranym zawodzie. Praca w warsztatach trwa 2 godziny dziennie. Wykształceniu praktycznemu dziewcząt Zakład także poświęca wiele uwagi. Uczą się szyć, gotować, prasować, sprzątać. Tak przedstawia się w grubszych zarysach nauczanie w Zakładzie lublinieckim. „Ulepszać pracę z każdym dniem, wykorzystać każdą chwilę dla dobra dziecka, oto hasło Zakładu, jego kategoryczny imperatyw". Zakład nie tylko jest szkołą, ale także i domem. Musi wychowywać dziecko w zastępstwie rodziców. Pracę wychowawczą pełnią młodzi opiekunowie i opiekunki ze średnim wykształceniem ogólnym lub pedagogicznym. Jednym z ważnych filarów wychowania jest w Zakładzie harcerstwo. Wychowanie zamyka się w Zakładzie w programie codziennych zajęć.

Dzieci biorą udział w uroczystościach międzyszkolnych, w defiladach, urządzają przedstawienia, akademie, wycieczki. Harcerze latem urządzają obozy. Członkowie Polskiego Czerwonego Krzyża przygotowują własnej roboty upominki na Dzień Matki. Żywym echem odbija się w Zakładzie uroczystość przystąpienia dziatwy do Stołu Pańskiego. Gdy nadejdzie koniec roku szkolnego, Zakład serdecznie żegna kończących naukę wychowanków, idących w życie.

Rocznik kończy się słowami: „Polska opieka społeczna wybudowała dla swych głuchoniemych taki zakład, o jakim się nikomu na Zachodzie nie śniło. W tym polskim zakładzie wyrośnie polska idea pedagogiczna i humantarna, idea owiana wielką miłością zapomnianego i przez wieki poniewieranego dziecka głuchoniemego, idea owiana troską o jego późniejsze samodzielne i szczęśliwe życie dla dobra potężnej Polski".

Z PRASY POLSKIEJ

O przyszłość młodzieży.

W „Kurierze Zachodnim" (Sosnowiec) z dn. 29. IV w artykule „Co będę robił gdy zdam maturę?" zastanawia się p. P. A. O. nad przyszłością naszych maturzystów. Ludzi z wyższym wykształceniem mamy w Polsce około 120 tysięcy. Dane ścisłe o rodzaju studiów dotyczą tylko abiturientów naszych wyższych uczelni z ostatnich lat 15-tu. Blisko 30% kończy prawo i nauki polityczne, 20% filozofię, około 15% medycynę i dentystykę, około 10% technikę. Trudno wybór zawodu uzależniać jedynie od sytuacji gospodarczej, trzeba się kierować przede wszystkim zamiłowaniami. Tam jednak, gdzie zamiłowania nie są ściśle skrystalizowane, trzeba pomyśleć i o innych względach. Roczna rekrutacja osób z wyższym wykształceniem w instytucjach państwowych wynosi rocznie około 1500 osób, z czego na wykształcenie prawnicze, ekonomiczne i handlowe przypada koło 800. W Niemczech doświadczenie wskazuje, że o wiele łatwiej znajdują możność zarobkowania lekarze, technicy i handlowcy, niż prawnicy i absolwenci wydziałów filozofii.

U nas prawnicy mają niewielkie możliwości znalezienia zajęcia. W przybliżeniu zapotrzebowanie prawników w administracji państwowej oraz w zawodach ściśle prawniczych wynosi około 1200 osób, więc $^{2}/_{3}$ kończących studia prawnicze. O nadprodukcji lekarzy u nas nie ma mowy. Jest praca dla nich, ale na prowincji i to w warunkach nieraz ciężkich. Jedną z dziedzin, gdzie niemożliwość znalezienia zatrudnienia po ukończeniu wyższych studiów zdaje się nie ulegać wątpliwości jest leśnictwo. Najlepsze widoki na przyszłość zdają się mieć studia techniczne, ale tu warunki wchodzenia w życie młodych inżynierów są niezwykle ciężkie.

Słuszne te uwagi mogą dać wiele do myślenia tegorocznym maturzystom i ich rodzicom w związku z wyborem dalszych studiów.

Jeśli idzie o losy tej młodzieży, która kończy szkoły powszechne, a nawet gimnazja nowego typu, to słuszne bardzo i rozsądne wydają się poglądy Ks. A. Rutkow-

skiego, który w numerze z 28. IV b. r. „Głosu Mazowieckiego" (Płock) twierdzi, że należy „kształcić dzieci krótko i praktycznie". Jeśli dziecko ma specjalne zamiłowania do studiów dalszych, to oczywiście trzeba mu te studia ułatwić, licząc się jednak zawsze z materialną możnością doprowadzenia ich do końca, żeby z braku pieniędzy studiów nie przerwał i nie stał się wykolejeńcem życiowym.

„W Polsce brak jest ludziczynu, kierowników życia gospodarczego w mieście i na wsi, natomiast mamy dużo teoretyków, którzy... praktycznie sami nic nie przeprowadzą, a jeśli coś zrobią, to nieudolnie".

Potrzeba odrodzenia handlu polskiego wymaga ludzi o średnim przygotowaniu handlowym, twierdzi autor, a takie przygotowanie zepewnić mogą dzieciom 4-ro klasowe gimnazja kupieckie. Gdyby zamiast kształcić dziecko wyżej, proponuje ks. Rutkowski, dano mu do ręki te pieniądze, przeznaczone na liceum i wyższy zakład, powstawałyby w Polsce silne warsztaty handlowe.

Uwagi te dotyczą zresztą również wszelkiego typu studiów zawodowych. Studia w szkołach wyższych są kosztowne i długotrwałe, a w kraju naszym brak dobrych zawodowców. Inną troskę rodziców porusza „Express Poranny" (Kielce-Radom) z dn. 7. maja b. r. Rodzice, biorący czynny udział w kołach rodzicielskich, stwierdzają, że w sprawach liceów, szczególniej zawodowych, panuje przeważnie dezorientacja, a to jest przede wszystkim przyczyną wielkiej rezerwy, z jaką rodzice i uczniowie odnoszą się do szkolnictwa zawodowego. „Niektórzy rodzice, licząc się z obecnym niezdecydowaniem swych dzieci, wyrazili życzenie, aby po upływie roku uczeń mógł się przenieść z jednego wydziału licealnego na inny. Notujemy ten projekt, aczkolwiek wydaje się on nam niepraktyczny, zważywszy, że żadne liceum nie przesądza o jakimś jedynym i wyłącznym rodzaju wyższych studiów. Dlaczego więc nie zejść z mylnej obranej drogi w rok później, przy wstąpieniu na wyższą uczelnię".

Artykuł porusza jeszcze ubolewania niektórych rodziców, w sprawie zdawania egzaminów przy wstępowaniu do liceów. Co będzie, jeśli uczeń nie zda? Czy nie lepiej byłoby wprowadzić tzw. „małą maturę", a do liceum przyjmować tylko na podstawie świadectwa?".

Od siebie dodać tylko możemy, że od egzaminów wstępnych zwalniani są przez Radę Pedagogiczną uczniowie, mający stopnie dobre i bardzo dobre, i że egzaminy te mają na celu pewną selekcję kandydatów do liceum ogólnokształcącego.

Sprawy współpracy domu i szkoły.

„Przegląd Katolicki" z dn. 18 kwietnia b. r. nawołuje do współpracy nauczycielstwa z domem rodzinnym, zwracając uwagę na potrzebę zbliżenia nauczyciela do rodzin uczniów i powołując się na przykłady Anglii i Ameryki, gdzie nauczyciele przedszkoli i szkół początkowych odwiedzają domy swych uczniów[1]).

P. Witold Stasinowski w Kurierze Bydgoskim z dn. 25 kwietnia r. b. stwierdza, że możnaby uzyskać większą frekwencję na zebraniach rodzicielskich, gdyby omawiać z rodzicami program nauki, podając łatwe „chwyty" metodyczne, zaznajamiając z prostymi sposobami kontroli wiadomości uczniów i t. d. „Rodzice są bardzo wdzięczni za takie wskazówki i chętnie chodzą na zebrania, bo wiedzą, że czasu nie tracą napróżno".

Wydawnictwo „Wołyń-Łuck" z dn. 25 kwietnia b. r. donosi, że z inicjatywy dyrekcji szkół radziwiłłowskich i burmistrza m. Radziwiłłowa wprowadzone zostały stałe konferencje rodzicielskie, na których dyskutowane są sprawy z dziedziny wychowania młodzieży w szkole i poza szkołą. Zebrania te odbywają się przy udziale władz miejskich, pedagogów i społeczników".

---

[1]) Przyp. red. U nas również jest to praktykowane.

Co za piękna myśl, co za rozumna inicjatywa. Oby podobne konferencje organizowano we wszystkich miastach i miasteczkach Polski.

W Paryżu w dniach 25, 26 i 27 czerwca obradował Międzynarodowy Kongres, poświęcony zagadnieniu rodziny. Kongres ten jest organizowany staraniem „Stowarzyszenia Małżeństwa Chrześcijańskiego", którego założycielem jest zasłużony działacz społeczny, ks. Viollet.

„Kurier Bydgoski" z dn. 18 kwietnia b. r. porusza sprawę, zdawałoby się drobną, ale zasługującą na uwagę kół rodzicielskich. Jest to kwestia „tornistra czy teczki". Dawniej, w klasach młodszych obowiązywał tornister. Dziś, kiedy dozwolone są teczki, dzieci, od klas najmłodszych poczynając, dźwigają książki w teczkach, zniekształcając sobie łopatki. Stwierdzają takie skrzywienia corocznie komisje poborowe. Gdyby koła rodzicielskie wypowiedziały się w tej sprawie, gdyby zabrali w niej głos lekarze, rozporządzenie o tornistrach, szczególniej ważne dla klas młodszych szkoły powszechnej, będzie niewątpliwie wydane.

Sprawy opieki nad młodzieżą.

W Wilnie z inicjatywy „Ligi odrodzenia moralnego" założona została „Komisja Międzyorganizacyjna Opieki nad Młodzieżą".

Ma ona na celu „podjęcie zbiorowej, zorganizowanej akcji, zmierzającej do zaktualizowania zagadnień wychowawczych w społeczeństwie za pośrednictwem organizacyj społecznych".

„Drogi działania są rozmaite. W pierwszym rzędzie dostarczać będzie Komisja konspektów-referatów dla organizacyj, wykazów popularnej literatury z dziedziny wychowania. Następnie drogą nawiązania kontaktu z władzami szkolnymi wysuwać będzie Komisja postulaty do realizacji na terenie szkoły. (W dyskusji wyłoniła się np. kwestia zbyt wielkiej ilości organizacyj szkolnych, absorbujących uwagę młodzieży)".

„ABC" z dn. 11 maja b. r. poświęca ciekawy artykuł klubowi rodzinnemu na Opaczewskiej. Otóż, I Ośrodek Zdrowia przy ul. Opaczewskiej zorganizował dla młodzieży bezrobotnej poradnię o specjalnym charakterze. Praca jej idzie w trzech kierunkach: 1) regulowanie stosunków rodzinnych, 2) spraw seksualnych, 3) spraw zawodowych. Ciekawe, że największym powodzeniem cieszy się dział „rodzinny". Zadaniem poradni jest wyrównanie konfliktów między dziećmi a rodzicami. Istnieje też przy poradni „klub rodzinny", rodzaj świetlicy dla dorosłych i młodzieży. Wspólne przebywanie w świetlicy, organizowane razem rozrywki i pogadanki kulturalne, wpływają korzystnie na wzajemne stosunki rodziców i dzieci".

Zagadnienie „rodzin zastępczych" omawia w „Kurierze Warszawskim" Z. Z. w dwóch artykułach z dn. 27 kw. i 6 maja b. r. Dla sierot starszych, wynajdywanie rodziny przybranej wiąże się ze sprawą wyboru zawodu. Życie rodzinne „wywiera wręcz niezwykły nieraz wpływ" pisze autorka. Próby dotychczas podjęte dały bardzo zadowalające wyniki, to też akcja „rodzin zastępczych" ma objąć w roku przyszłym daleko szerszy zakres. Tak więc życie samo wskazuje, że wychowania rodzinnego nie potrafi nigdy zastąpić wychowanie zakładowe.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

L. Buchet w „L'Education" (maj 1937) w artykule pod tytułem „Życzenia i nadzieje" zastanawia się nad tym, jak niewiele wychowanie przyczynia się do wyrobienia gotowości do koleżeńskiej współpracy. „Co robi uczeń dla kolegów? Nic. Na szczęście, są liczne okazje do tarć, do ustępstw, zarówno w klasie, jak i przy za-

bawie, ale to nie wystarcza. Pół godziny codzień pracy obowiązkowej dla innych byłoby pożyteczniejsze niż wszelkie lekcje".

„I jeszcze jedno życzenie, żeby zmniejszył się nasz kult egzaminów, żebyśmy z naszych dzieci nie robili istnych skazańców pracy umysłowej (des forcats intellectuels). Co roku mam do czynienia z drugorocznymi uczniami. Dzieci to albo wątłe, albo niezdolne, albo niezrównoważone, od których rodzice za wszelką cenę żądają, aby skończyły szkołę. I te biedne dzieci, niewinne ofiary, siedzą na ławie szkolnej... Nudzą się śmiertelnie, niezdolne są do zainteresowania się niczym, co od nich wymaga wysiłku pamięci lub inteligencji. Tak by im dobrze było na świeżym powietrzu, na wsi, gdyby się uczyły ogrodnictwa lub jakiego rzemiosła Ale cóż.... to mali mieszczanie... nie można się deklasować".

„I żeby się nie zdeklasować..... nie dajemy naszym dzieciom czasu, aby mogły żyć. Po szkole średniej młodzieniec...... widzi przed sobą dalszą perspektywę nudnej pracy s z k o l n e j.... bo praca w naszych szkołach wyższych, to też przeważnie dalsze „kucie", a w życie wejdzie młodzieniec dopiero, kiedy najlepsze lata młodości przejdą mu na ślęczeniu nad podręcznikami". „Ale", dodaje autor, „całkowita przebudowa szkoły wymagałaby całkowitej przebudowy społeczeństwa"...

Tu dodać możemy od nas, że w Polsce obecny ustrój szkolnictwa zawodowego wiele się przyczynić może do zwalczenia tego i u nas tak rozpowszechnionego a bezprodukcyjnego snobizmu studiów teoretycznych.

A jednak bez rodziny trudno sobie poradzić.

W „Revue des Deux Mondes" niepodpisany autor stwierdza, że w Rosji Sowieckiej coraz wyraźniej zaznacza się zwrot w stosunku do rodziny. Coraz bardziej zaczyna się rodziców zachęcać, żeby zajmowali się wychowaniem dzieci. Tak potępiana i zwalczana instytucja rodziny zaczyna znów być uważana jako „rzeczywisty czynnik wychowawczy".

Rady rodzicielskie w Danii.

„Informations Pédagogiques" z grudnia 1936 r. podają, że ruch współpracy rodziców z nauczycielstwem rozpoczął się w Danii w 1933 r.

Od 1934 r. wprowadzono obowiązujące Rady Rodzicielskie przy Radach Miejskich i gminnych, złożone z 5-ciu osób w miastach, z 3-ch w gminach wiejskich. Przedstawiciele nauczycielstwa mają w nich głos doradczy.

Wiele korzystnych inowacyj uzyskano dzięki interwencji tych Rad w Dyrekcji Oświecenia Publicznego: bardziej nowoczesne podręczniki, nowe metody postępowania z dziećmi „trudnymi do wychowania", inowacje z dziedziny higieny (szczególniej po wsiach) i t. d.

Ruch osiedlowy w Anglii.

Tegoroczne sprawozdania Międzynarodowego Biura Wychowania w Genewie stwierdzają wzmożenie się zainteresowań ruchem osiedlowym w Anglii, która do niedawna wcale nie znała instytucyj tego typu.

Pierwszy jego zaczątek stanowiła fundacja kapitalna Ffennella w 1931 r., który ofiarował do użytku szkołom część swej pięknej posiadłości Wytham pod Oxfordem. W ciągu pierwszego roku były tam tylko urządzenia do odbywania lekcyj na świeżym powietrzu. 500 dzieci spędziło po jednym dniu szkolnym w tym pięknym oto-

czeniu, a dzieci, rodzice i nauczyciele tak byli zachwyceni wynikiem tych wyjazdów, że na rok następny urządzono już dwutygodniowe pobyty klas w osiedlu. Dzieci z najuboższych dzielnic Londynu mogły nacieszyć się tu zielenią i pięknem olbrzymiego parku, nie przerywając nauki szkolnej.

Podobne osiedla z pobytem tygodniowym zaczęto organizować i w innych miejscowościach Anglii. W osiedlu pod Hull, zajęcia gospodarskie, zamiast, żeby stanowiły „pańszczyznę", powierzane są dzieciom tytułem nagrody, i dzieci bardzo się o to wyróżnienie ubiegają.

Akcja osiedlowa rokuje w Anglii wielkie powodzenie. U nas osiedla mają już piękną tradycję, i doszło do wiadomości naszej, że pewne instytucje wychowawcze angielskie zwracały się do naszych władz oświatowych o informacje w przedmiocie naszych osiedli.

Wpływ filmu na młodzież szkolną.

Zagadnienie oddziaływania filmu na młodzież niewątpliwie zastanawia wszystkich rodziców.

Jest to czynnik, z którym należy się liczyć bardzo poważnie, gdy idzie o wrażliwą, kształtującą się psychikę, wpływu którego uniknąć niepodobna, a z którego trzeba sobie zdać sprawę, żeby należycie nim pokierować. Odpowiedni film może być potężnym i bardzo dodatnim czynnikiem wychowawczym, ale filmów prawdziwie wartościowych jest, niestety, bardzo mało, a i te nie są tworzone z myślą o młodocianych widzach.

Ministerstwo W. R. i O. P. rozesłało tytułem próby do 20-tu szkół ankietę, skierowaną w klasach młodszych szkoły powszechnej do nauczycieli, od IV-ej zaś klasy szkoły powszechnej poczynając, do młodzieży samej.

Nie do wszystkich spośród dzieci naszych czytelników trafi może ta ankieta. Chcielibyśmy więc podać do wiadomości ogółu rodziców niektóre z jej pytań:

„Czy lubisz chodzić do kina i dlaczego? (Co cię interesuje w filmach? Jakie korzyści i przyjemności daje ci kino?)".

„Które filmy podobały ci się najbardziej? Które postaci, zdarzenia, widoki wywarły na tobie wrażenie?".

„Czy potrafiłbyś podać korzyści, jakie odniosłeś z oglądania filmów?".

„Czy i jak wpływa film na ciebie, silnie czy słabo, trwale czy przemijająco, dodatnio, czy ujemnie?".

„Który ze znanych filmów uważasz za wartościowy, który za szkodliwy i pod jakim względem?".

„Czy długo pamiętasz treść filmu?".

Bardzo byłoby interesujące, gdyby rodzice zechcieli podać nam wypowiedzi swoich dzieci i własną opinię na powyższe pytania. Tego rodzaju materiał miałby wielką wartość, stanowiąc cenny przyczynek do zapoznania się z poglądami rodziców w sprawie oddziaływania filmu na młodzież, a również i do tego, aby w przyszłości przy cenzurze i ocenie filmów głos rodziców znalazł uwzględnienie.

UPRZEJMIE PROSIMY SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE UREGULOWANIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY PRZED WAKACJAMI, GDYŻ MUSIMY NASZE ZOBOWIĄZANIA W ZWIĄZKU Z WYDAWNICTWEM REGULOWAĆ RÓWNIEŻ PRZED DWUMIESIĘCZNĄ PRZERWĄ WAKACYJNĄ.

ADMINISTRACJA.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA DZIECKA W DOMU, W SZKOLE I W ŚRODOWISKU.

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową (od 10 egzemplarzy)
wynosi 70 groszy za numer

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11

(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020

Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie w Warszawie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.